



**MIĘDZYSZKOLNY
KONKURS
LITERACKI I PLASTYCZNY
„JA – ZWIERZĘ”**

Warszawa 2017

Wydawca:

Zespół Szkół nr 60
ul. Stefanii Sempołowskiej 4
00-574 Warszawa

Korekta:

Katarzyna Niedźwiedzka

Wstęp:

Krystyna Inowolska

Opracowanie techniczne:

Monika Bednarska

ZWIERZĘTA ŚWIATA ORGANIZUJĄ PLEBISCYT O MIANO CZŁOWIEKA.

Pewnie niejeden się oburzy: „Jak to o miano człowieka! To co, jeśli urodziłem się człowiekiem, to nie wystarczy?!”

Otóż, na szczęście, wielu z nas tak nie uważa. Na miano Człowieka, tego pisanego wielką literą, trzeba sobie zasłużyć.

Skupię się na naszym stosunku do zwierząt.

Jak nazwiecie tych, którzy zamykają kury w klatkach wielkości kartki A4, podcinają im skrzydła i dzioby po to tylko, żeby więcej zarobić na sprzedaży zatrutych cierpieniem jajek? A co powiecie o tych, którzy półroczne psy uwiązują na łańcuchu przy budzie i uwalniają, kiedy pies nie ma już siły czekać, więc nadaje się tylko na śmierć? Albo o tych, którzy wyrzucają zwierzęta z samochodów lub przywiązują do drzewa w lesie, bo nie pomyśleli, że w roku są wakacje? Nie będę pisała o innych okrucieństwach, choć lista byłaby długa.

Na szczęście jesteście też Wy - młode pokolenie, które coraz więcej wie, któremu się chce coś zrobić. Wolontariusze w schroniskach dla zwierząt to głównie młodzi ludzie. To Wy zasługujecie na miano Człowieka – Wy, którzy dostrzegacie cierpienia i potrzeby zwierząt, co można stwierdzić na podstawie Waszych prac konkursowych.

Dziękujemy za piękne prace plastyczne oraz wzruszające i mądre opowiadania. Mamy nadzieję, że gdy staniecie się dorośli, nada będziecie chcieli zmieniać świat na lepszy.

Krystyna Inowska

I miejsce
Aleksandra Iwaszko
Spółeczne Gimnazjum nr 27 STO
Warszawa

Dziewczynka W Zielonej Bluzie – historia właścicielki Florka

Jak zwykle czekałem na przyjście Dziewczynki W Zielonej Bluzie. Nie jestem pewien, jak naprawdę ma na imię, ale szczerze mówiąc, średnio mnie to interesuje, najważniejsze jest to, że co wieczór pojawia się za kratą mojego domu i zabiera mnie na długie spacerów. Pewnego dnia przyszła, tak po prostu i od razu wiedzieliśmy, że się dogadamy.

Najbardziej lubię w niej to, że nie tylko mówi do mnie, ale również słucha. Zawsze, gdy idziemy przez pole, opowiada mi o różnych ludziach oraz sytuacjach, które ją spotkały. Nie do końca rozumiem to, co mówi, całe moje życie ogranicza się do metalowej klatki i spacerów z nią, jednak słucham uważnie, drepcząc żwawo przy jej nodze, ponieważ jestem kulturalnym psem i wiem, że należy wsłuchiwać się w każde słowo Dużych Dwunożnych Stworzeń. Nie pamiętam do końca, skąd to wiem, zupełnie wyleciało mi z głowy to, co działo się ze mną przed Metalowym Domem i czy w ogóle coś się działo. Nie o tym jednak mam teraz opowiadać. Wróćmy do Dziewczynki W Zielonej Bluzie. Zawsze, gdy skończy mówić, dla odmiany ja opowiadam jej o tym, jak minął mi dzień: co było na śniadanie, ile pcheł znalazłem w swojej sierści albo o tym, co mówił Stary Kudłaty Pies, który wystawiając pyszczek przez metalowe kraty, często opowiada o swojej przeszłości. A opowiada o naprawdę niesamowitych rzeczach! Nie jestem pewien, czy Dziewczynka rozumie to, co do niej mówię, nigdy jednak nie przerywa i patrzy na mnie z szerokim uśmiechem, myślę więc, że słucha. Zawsze po rozmowie...

Och, właśnie przyszła!

Zrywam się z Małej Czerwonej Poduszki i merdam ogonkiem tak szybko, jak tylko mogę, bo wtedy Dziewczynka W Zielonej Bluzie śmieje się, a bardzo lubię, gdy jest wesola. Dziś jednak wygląda, jakby coś ją niepokoiło, pachnie jakby... smutkiem? Chcę spytać, co się stało, jednak gdy wyjmuję z kieszeni Pyszna Chrupiącą Kostkę, zupełnie zapominam, że miałem zadać jakieś pytanie. Wychodzę z klatki. Długie futerko obrastające głowę Dziewczynki laskocze mnie w nos, a ja wdycham jej zapach – zawsze pachnie tak słodko, zastanawiam się, skąd ten zapach przynosi. Zakłada mi smycz i ruszamy w podskokach na łąkę, ona opowiada, a ja słucham, a potem zamiana – tak, ja zawsze. Po rozmowie czas na zabawę! Dziewczynka W Zielonej Bluzie wyciąga

Piszczącą Piłeczkę, spuszcza mnie ze smyczy, a potem bierze duży, duży zamach, wyrzucając zabawkę daleko, daleko przed siebie. Biegnę po piłkę, ile tylko mam sił, zawsze wyobrażam sobie, że poruszam się tak szybko, że Dziewczynka widzi jedynie zamazaną plamę. Może faktycznie tak jest? Czuję dumę, bo wiem, że Dziewczynka W Zielonej Bluzie również jest dumna. Bawimy się trochę, trudno stwierdzić, ile czasu dokładnie, dla mnie i tak za krótko! Nie zmęczyłem się wcale a wcale, jednak moja towarzyszka chyba tak, bo mówi, że trzeba wracać. Nie chcę jeszcze kończyć spaceru, mam wrażenie, że kończy się wcześniej niż zazwyczaj, jestem jednak grzecznym i kulturalnym pieskiem, więc nie protestuję.

Drogę powrotną pokonujemy w niemal całkowitej ciszy, nic z tego nie rozumiem, Dziewczynka W Zielonej Bluzie zawsze jest taka wesoła energiczna, a dzisiaj wydaje się dziwnie przygnębiona. Gdy odprowadza mnie do klatki, zaczepia nas Duża Ważna Pani, która często przechodzi obok klatki mówi coś do mojej przyjaciółki, wyłapuję słowa *limit*, *praca*, *koniec*... wszystkie brzmią groźnie i czuję, że oznaczają coś złego.

– Żegnaj, piesku – szepcze do mnie Dziewczynka W Zielonej Bluzie. Trącam ją nosem, chcę pocieszyć. Nic z tego nie rozumiem, czemu jest taka smutna?

– Mam nadzieję, że jeszcze kiedyś się spotkamy, kocham cię.

Chcę jej powiedzieć, że też ją kocham, zadzieram łeb, aby polizać ją po miękkim, ciepłym policzku, ale w tym momencie przyjaciółka odwraca się, widzę na jej twarzy spływającą kroplę wody i zastanawiam się, skąd się wzięła, mam nadzieję, że jutro znów będzie wesoła jak zwykle i zabierze mnie na długi, długi spacer.

Dziewczynka wsiada do Dużej Hałasującej Maszyny Na Kołach, chyba tam mieszka, bo zawsze, gdy mnie odwiedza, wychodzi stamtąd, a potem tam właśnie znika. Przedtem jeszcze żegna się z Dużą Ważną Panią, obydwie wyglądają na przygnębione, więc i mnie dopada zły humor, chociaż nie wiem, o co chodzi.

Zamykam oczy i zasypiam, a gdy się budzę, jest już następny dzień, Jasna Kula wisi nade mną, oświetlając wszystko złotym blaskiem. Przeciągam się, śniadanie już czeka. Wczoraj chyba byłem smutny, ale nie pamiętam czemu, próbuję sobie przypomnieć, ale nie mogę, więc tylko kładę się i czekam na Dziewczynkę W Zielonej Bluzie. Chyba przysnąłem, ale nie jestem pewien. Powoli robi się ciemno, dziwne, moja przyjaciółka powinna już być. Wypatruję Dużej Hałasującej Maszyny Na Kołach, ale nigdzie jej nie ma. Zaczynam czuć niepokój, chyba nawet zapisałem ze smutku, mam wrażenie, że nie widzimy

się już od bardzo, bardzo długiego czasu. Drapię w metalowe kraty, może coś jej się stało, może mnie potrzebuje, może Duża Hałasująca Maszyna Na Kołach coś jej zrobiła, wessała i teraz Dziewczynka, czeka aż ją uratuję. Próbuję się wydostać, jednak na próżno. Może tylko się spóźnia, a może jutro przyjdzie. Już raz się zdarzyło, że nie było jej dwa dni, bardzo się przestraszyłem, ale potem wyjaśniła, że *miała grypę*, cokolwiek to znaczy. Może teraz znów *ma grypę*, a jak przestanie, to znów do mnie przyjedzie.

Jednak Dziewczynka W Zielonej Bluźie nie przychodzi następnego dnia, następnego również, a jeszcze następnego ledwo mogę sobie przypomnieć wygląd jej twarzy. Tracę rachubę czasu, nie wiem, ile dni już jej nie ma. Czasem budząc się, czuję niepokój i nie pamiętam nawet dlaczego, boję się, że w końcu zapomnę wszystko, nawet jej zapach. Czemu mnie zostawiła? Przychodziła zawsze od bardzo, bardzo dawna, odkąd sięga moja pamięć i nagle przestała. Mówiła przecież, że mnie kocha.

I wreszcie przychodzi. Wygląda trochę inaczej, futerko na głowie wydaje się dłuższe, bluza zmieniła kolor na niebieski, ale to bez wątpienia ona, poznając po zapachu. Podchodzi do mojego Metalowego Domu, na policzkach znowu ma krople wody, ale wyczuwam od niej ogromne szczęście. Zaczynam machać ogonem na wszystkie strony i podskakiwać w miejscu, tak strasznie się cieszę, że jednak mnie nie zostawiła.

– Pamięta cię – mówi Duża Ważna Pani stojąca za plecami mojej przyjaciółki.

– Oczywiście – odpowiada Dziewczynka W Niebieskiej/Zielonej Bluźie.
– To mój przyjaciel.

Po tych słowach wyjmuję mnie z Metalowego Domu i patrząc głęboko w oczy, oznajmia uroczystym głosem:

– Teraz jesteś mój. Jestem twoją właścicielką.

Nie jestem pewien, co oznacza słowo *właścicielka*, ale myślę, że to coś dobrego, więc liżę przyjaciółkę po policzku, a ona ze śmiechem prowadzi mnie ku Dużej Hałasującej Maszynie Na Kołach. Znikamy w niej razem. Razem – jakie to piękne słowo!

I miejsce
Anna Markiewicz
Gimnazjum Niepubliczne Nr 1
Warszawa

Antonina Żabińska – Moja wojenna przyjaciółka

Moje życie nigdy nie było łatwe, jestem lwem, ludzie polują na Nas. Gdy byłam mała porwano mnie, zamknięto w ciasnej klatce i gdzieś wywieziono. Tego dnia, przestraszona, brudna i samotna trafiłam do pięknego, dużego ogrodu zoologicznego, tam poznałam Antoninę – była spokojna oraz miła. Początkowo nie wiedziałam, co do niej czuć, ale po pierwszym dniu mojego pobytu w tym miejscu, pokochałam ją.

Opiekunka troszczyła się o każde zwierzę, bez wyjątku. Gdy pierwszy raz ją zobaczyłam, byłam trochę negatywnie nastawiona, ale ona przyjęła mnie, umyła, nakarmiła oraz zaniósła do weterynarza, ponieważ podczas podróży złamałam sobie łapkę.

Wybieg do którego trafiłam był ogromny i wspaniały. Inne lwy szybko mnie zaakceptowały. Życie tu wiodło się dość zwyczajnie, codziennie oglądali nas dorośli, dzieci podziwiali i cieszyli się na nasz widok i tak mijał cały dzień. Urozmaicała go jednak Antonina, która prowadziła specjalne pokazy ; między innymi karmienia, różnych sztuczek czy nawet po prostu prezentowała nas. Podczas takich atrakcji wszystkie lwy były posłuszne oraz bardzo zorganizowane, dzięki czemu potem czekała nas solidna nagroda, w postaci dobrego steku i baraniny.

Szczęście nie może trwać wiecznie, okres świetności skończył się zaraz po tym jak wybuchła wojna; liczne bombardowania, żołnierze grasujący na ulicach itp. Antonina postanowiła, więc uratować tyle zwierząt, ile jej się tylko uda; poświęciła temu wiele swojego czasu, gdy tylko mogła przychodziła do nas i sprawdzała czy wszystko jest na pewno w porządku i spędzała z nami czas. Czułam się przy jej trosce jakbym była z mamą, najlepszą przyjaciółką.

Nie tylko nami się zajmowała. Podśluchałam rozmowę z jej mężem i dowiedziałam się, że Niemcy wywożą, zabijają bezbronnych ludzi – Żydów. Dzięki tej rozmowie powiedziałam innym zwierzętom, że będziemy mieli współlokatorów, którzy również mają problemy. Postanowiliśmy, że będziemy dla nich spokojni, mili i nie będziemy robić im krzywdy. Parę dni później przyszli do zoo pierwsi Goście. Mężczyzna z żoną i dwoma córkami, a potem gości było jeszcze więcej. Antonina i jej mąż uspokajali ich, zapewniali jedzenie i dach nad głową. Wielu z nich ukrywało się w podziemiach lub tych częściach

naszych wybiegów, których nie widać dla zwiedzających.

Teraz przedstawię Wam historię tej wspaniałej kobiety. Pani Antonina urodziła się 18 lipca 1908 roku w Petersburgu, potem przeprowadziła się do Warszawy, gdzie wyszła za mąż za Jana Żabińskiego. Była ona pisarką, napisała wiele książek między innymi: *Pamiętnik Żyrafy*, *Jak białowieskie rysice zostały warszawiakami* czy *Dzolly i S-ka*. Mąż cenił ją za niezwykle uosobienie i umiejętności postępowania ze zwierzętami. Posiadała ona niezwykle dar osvajania nawet najdzikszych zwierząt, który bardzo pomagał w ratowaniu ludzi. Odwracała uwagę Niemców od przeszukiwania domu. Moimi ulubionymi słowami, które wypowiedziała są: *Może dlatego tak bardzo kocham zwierzęta, patrzysz im w oczy i wiesz dokładnie, co czują*. W 1965 roku ona i jej mąż otrzymali tytuł *Sprawiedliwi wśród Narodów Świata*, natomiast za ratowanie Żydów w czasie wojny, zostali odznaczeni Krzyżem Komandorskim.

Dlatego zgłaszam panią Antoninę Żabińską do *Plebiscytu o miano człowieka*, ponieważ ta kobieta dostrzega nie tylko człowieka, ale też zwierzęta, które w współczesnym świecie nie zawsze mają tak łatwo, a ta postać pokazuje wspaniałą postawę, jakiej często niektórym ludziom brakuje, bo się boją, że zginą, zostaną odrzuceni, itp. Jej historia i miłość pokazuje, jak bardzo była wrażliwa na cierpienie innych

Moim zdaniem to właśnie ta osoba, jaką jest Antonina Żabińska powinna otrzymać to niezwykle wyróżnienie za swoje czyny.

I miejsce

Weronika Smolińska

Szkoła Podstawowa nr 279

Warszawa

Cześć! Nazywam się Bohun. Jestem kotem i mam dwanaście lat. Mieszkam w przytulnym domu z wieloma przyjemnymi osobami. Tymi osobami są: pan Darek, pani Iwona, pani Marianna, pani Ewelina, mała Martusia oraz Weronika. Żyje mi się bardzo dobrze. Wszyscy o mnie dbają, podkarmiają świeżym mięskiem, kochają mnie, pielęgnują, często mnie głaszczą, noszą mnie na rękach, całują i dają mi moje ulubione jedzenie. Mam też czterech kolegów: Bolka, Lolka, Budrysa i Bursztyna, którzy tak jak ja trafili pod opiekę tych wspaniałych i kochających zwierzęta ludzi.

Niestety moje życie nie zawsze było takie piękne. Dzisiaj chcę wam opowiedzieć o trudnym i ciężkim dzieciństwie, jakie mi zgotował los oraz

o tym, jak znalazłem się w Moim Domu.

Gdy byłem malutkim kociakiem, mieszkalem we wsi Ulaski. Byłem bardzo źle traktowany. Nie dostawałem jedzenia, picia, byłem rzucany przez płot, bity i kopany. Moja pani nie potrafiła się mną zajmować, nie kochała mnie. Często zostawiała mnie samego w domu na kilka dni. Niestety, nie pamiętała o tym, żeby zostawić mi choćby miskę mleka. Pozwalała, aby jej znajomi bili mnie i kopali, chociaż widziała, że cierpię.

Pewnego pięknego, letniego dnia na sąsiadującą z moim podwórkiem posesję zawitała rodzinka. To byli państwo Łukjańczuk wraz z córkami - Sylwią i Ewelina. Od razu poczułem ciepło i dobroć, które od nich było. Czułem, że koniecznie muszę ich poznać, więc mimo pewnych obaw, postanowiłem przedostać się na ich działkę.

Przeszedłem przez dziurę w płocie i znalazłem się w ich ogródku. Oczywiście nie potrafiłem się skradać i dziewczyny od razu mnie zobaczyły. Powiedziały o mnie swojej mamie, która odniosła mnie do mojego dawnego domu. Coś mnie wciąż do nich ciągnęło, więc znowu przeszedłem przez dziurę w płocie i czym prędzej pobiegłem do nich na taras. Ewelina postanowiła dać mi trochę mleka, bo pomyślała, że skoro jestem taki uparty, to muszę być głodny. Wtedy już wiedziałem, że chcę z nimi mieszkać. Gdy skończyłem pić mleko, Ewelina spróbowała mnie przecisnąć przez dziurę w płocie. Za każdym razem, gdy ona wepchnęła mnie na stronę moich właścicieli, ja wciskałem się z powrotem. W końcu dziewczyna się poddała. Wzięła mnie na rękę, ucałowała mój zapchlony łebek i zanosła do swoich rodziców. Jej tata trochę się na nas zdenerwował i śmiał się, że jego córka nawet kota przez płot nie potrafi porządnie przerzucić. Wziął mnie do rąk i sam próbował mnie przecisnąć przez tę dziurę, przez którą wcześniej do nich wszedłem. Po kilku nieudanych próbach zaczął mnie głaskać za uchem, mówił do mnie pieszczotliwie i zachowywał się wobec mnie bardzo przyjaźnie. Zaczął się nawet ze mną bawić. Wtedy nie wiedziałem jeszcze, że to takie fajne i przyjemne uczucie. Poczulem motylki w brzuchu i już wiedziałem, że to są Ci Właściwi.

Po długich naradach cała rodzina zgodziła się, aby mnie zabrać do ich miejsca zamieszkania. Ustalili też, że nic nie powiedzą swoim okrutnym sąsiadom, więc uzyskałem status zaginionego kota, choć tak naprawdę odnalazłem swoją rodzinę i zyskałem miły dom.

Do nowego domu musiałem przebyć daleką drogę samochodem. Nigdy wcześniej nie czułem nic podobnego. Jazda samochodem była niesamowita. Pani Iwona cały czas zabijała pchły, których nabawiłem się żyjąc na wsi pod opieką złych ludzi. Miała pole do popisu, bo pcheł było od metra. W pewnym

momencie poczułem znużenie i oparłem wygodnie łebek na łapkach. Śnił mi się piękny, duży dom, w którym jest niekończąca się miseczka mleka. Zdawałem sobie sprawę, że w moim nowym domu nie będzie takiej miski, ale miałem pewność, że przy tej rodzinie nigdy już nie będę głodny.

Gdy się obudziłem, byliśmy już na miejscu, w moim upragnionym domu. Kiedy wnieśli mnie po schodach i weszli przez drzwi, zaskoczyło mnie ogromne, czarne cielsko psa. Myślałem, że już po mnie, ale ten pies nie był wobec mnie źle nastawiony i bardzo szybko się zaprzyjaźniliśmy. Nazywał się Bej. Nie ma go już z nami, ale bardzo miło razem z nim spędzałem czas.

Rodzinka zdecydowała, że muszą mi nadać imię. Bardzo chcieli, żeby zaczynało się na literę B, ponieważ wszystkie zwierzęta, które uratowali, nazywali na tę literkę. Bej opowiedział mi historię każdego z Ocalonych. Był żółw - Balbinka, świnki morskie - Bonzo i Bruno, gołąb - Bibo i przyszedłem ja - Bohun. To imię bohatera książki *Ogniem i mieczem*, ponieważ moi państwo bardzo lubili tę postać.

Od tej pory nie byłem już małym, chudym i zapchlonym kocurem, a stałem się zadbanym, najedzonym i kochanym kotem.

W tym miejscu chcę wam polecić tę rodzinę do nadania im tytułu CZŁOWIEKA - NAJLEPSZEGO PRZYJACIELA ZWIERZĄT. Zasłużyli oni na to ratując mnie oraz moich wszystkich przyjaciół, bo każdy z nas był przez tych ludzi uratowany z niedoli.

II miejsce

Natalia Osełkowska

Gimnazjum nr 103

Warszawa

Nazywam się Sławek, jestem starym psem i niestety od dawna nie mam domu. Na szczęście trafiłem na dobrych ludzi. Wcześniej moje życie było smutne, pełne rozczarowań i niespełnionych marzeń. Dziś wiem, że komuś na mnie zależy. Wszystko to dzięki Azyłowi pod Psim Aniołem, którym zawiaduje pani Agnieszka Brzezińska. Tu znalazłem nowy dom, w którym ktoś zechciał zatroszczyć się o moje zdrowie i spokojne życie. Oczywiście wolalbym mieć rodzinę, która by mnie pokochała, ale przynajmniej opiekują się mną osoby, chcące pomagać zwierzętom bezinteresownie. Podziwiam każdą z nich. Poświęcają swój wolny czas trudnej pracy i nie oczekują niczego w zamian. Niektórzy z moich kolegów są ciężko doświadczeni przez los i złych ludzi, byli bici, znęcano się nad nimi, głodzono ich lub porzucano. Przez to stali się

nieufni, a nawet agresywni. Nasi opiekunowie są bardzo cierpliwi i wyrozumiali. Okazują nam dużo serca, pielęgnują, gdy chorujemy, i starają się szukać dla nas kochających domów. Czasem to się udaje i wtedy pani Agnieszka jest szczęśliwa. Uważa, że najlepszą formą pomocy schronisku jest adopcja zwierzaka. Z każdą dokładnie sprawdzoną wcześniej rodziną pozostaje w kontakcie i udziela rad, jeśli jest to potrzebne. Zdaje sobie sprawę, że pies czy kot po przejściach nie może ponownie trafić do złych ludzi.

Ostatnio odwiedziły nas dzieci z jednej z wawerskich szkół. Zorganizowały kiermasz i zebrane pieniądze przeznaczyły na zakup karmy leczniczej dla mieszkańców naszego azylu. Przyniosły też koce, obroże, a nawet zabawki – przecież my też lubimy się bawić. To była miła odmiana, tym bardziej, że zabrały mnie i Horacego, mojego młodego kolegę, na długi spacer. Z przyjemnością opuściliśmy na pewien czas kojce, w których mieszkamy na co dzień. To również zasługa pani Agnieszki. Stara się za wszelką cenę zdobyć pomoc dla nas. Udaje jej się czasem wydobyć jak spod ziemi drogie lekarstwa lub specjalistyczną karmę, dzięki którym można uratować życie psów i kotów. Oczywiście nie brakuje też ludzi o wielkich sercach, którzy nas wspomagają finansowo i reagują na często rozpaczliwe apele, w których nasi opiekunowie proszą o pomoc.

Pani Agnieszka sama nie ma zbyt wiele, dzieli się z nami wszystkim, co posiada. Swoją miłością do zwierząt зараża także innych ludzi. W ostatnim czasie ma niestety wielkie zmartwienie. Sąsiedzi schroniska, w którym mieszkamy, składają skargi. Przeszkadza im szczekanie, zapachy, zamieszanie wokół nas. A przecież my mieszkamy tu od dawna. Budowa nowych bloków i domów dla nas również była uciążliwa, jednak się nie skarżyliśmy. A nowi mieszkańcy, zamiast uszanować nasze prawo do bycia w tym miejscu, uznali, że trzeba się nas pozbyć. Nikt z nich nie myśli o losie porzuconych zwierząt. Nikt nie zaproponował miejsca, które moglibyśmy zająć. Ważne, żebyśmy znikli z sąsiedztwa. Mam nadzieję, że uda nam się zwyciężyć. Mamy ciasno, jest nas wielu, ale to nasz jedyny dom. Tu są ludzie, którym na nas zależy, oni na pewno nie pozwolą nas skrzywdzić.

Chciałbym, żeby wszyscy dowiedzieli się o pani Agnieszce Brzezińskiej, bez niej dawno by nas nie było. Oddała na schronisko swoją własną działkę, już od dzieciństwa przygarniała bezdomne i chore zwierzęta, co niestety nie zawsze spotykało się z przychylnością otoczenia. Mimo to przez całe swoje życie trwa przy nas, swoich braciach mniejszych i niemal każdego dnia ratuje życie i zdrowie swoich podopiecznych. Chcielibyśmy się jej odwdziaczyć, ale myślę, że nasza miłość jest dla niej najlepszą nagrodą. Byłoby nam miło, gdyby

również ludzie zauważyli tę niezwykłą postać, którą z pewnością warto docenić.

II miejsce

Hanna Słyk

Spółeczna Szkoła Podstawowa nr 10 STO

Warszawa

Tysiąc jeżyck łapek stąd

Dreptałem sobie spokojnie po ulicy. Nagrzany asfalt parzył mnie w łapki, ale ja się nie zatrzymywałem. Przecisnąłem się przez szparę i zignorowałem szczekającego na mnie psa, jednak po chwili odwróciłem się w jego stronę i spiorunowałem go wzrokiem.

– Jak śmiesz się do mnie odzywać? – zapytałem spokojnie, czując, że uszaty jest kompletnym idiotą, a ja bez sensu tracę czas. Potwór na chwilę przestał szczekać, popatrzył na mnie przekrzywiając głowę i ponownie wznowił swoje bezsensowne działania. Obszedłem szerokim łukiem siatkę dzielącą mnie i jego, i popędziłem przed siebie.

Zatrzymała mnie ściana. I to wysoka ściana. Wielki, ogromny, gruby, bezczelnie postawiony mur! Tupnąłem nóżką i przygniotłem dżdżownicę. Jedząc ją rozmyślałem, jak dostać się dalej. Mój mózg pracował na najwyższych obrotach, nasek kręcił się szybko. Obejrzałem się do tyłu i zauważyłem siatkę! Moją nadzieję! W sumie nie wiedziałem, czy zmieszczę się w tej szczelince... ale zawsze można było spróbować... pędząc w stronę dziury, popatrzyłem po kolei na swoje wydatne fałdki na brzuchu, małe łapki i wielki czarny nos. Przyszło mi na myśl, że trzeba było nie jeść wielkich gąsienic w Tłusty Czwartek. Dlaczego tak mnie to podkusiło?

I hop! I utknąłem. Dosłownie. W przenośni zresztą też. Moje sadelko zostało po jednej stronie siatki, a pyszczek po drugiej. Próbowałem się przecisnąć i w jedną, i w drugą stronę, ale to tylko pogorszyło mój stan. Otarłem się o chropowaty drut, a z mojego brzuszka poleciała krew. Wtedy zacząłem płakać. Przez łzy zobaczyłem jakąś osobę biegnącą po podwórku.

– Ratunku... – szepnąłem resztką sił i o dziwo mały człowieczek się obrócił, ale widocznie mnie nie zauważył, bo pobiegł do wielkiego budynku kilkaset jeżyck łapek od siatki.

Gdy czekałem na inne stworzenie mogące przyjść mi z pomocą, poczułem ukłucie w łapkę. To był z pewnością kleszcz, ale on chyba nie chciał zostać moim przyjacielem, a tym bardziej mnie ratować.

Ocknąłem się, kiedy poczułem na sobie ciepło ludzkich rąk. Spojrzałem

na mojego wybawiciela. Ujrzałem parę ciemnych oczu i krótkie, kręcone włosy w kolorze ciemnego bursztynu. Byłem pewny, że miałem przed oczami tę samą osobę, która już raz uratowała mnie przed samochodem na mało ruchliwej ulicy.

Mniejsza dziewczynka z tego samego domu zawsze nazywała ją *mamą*. Inny pan również mieszkający z nimi zwracał się do niej *Karusia*.

Wprawne ręce delikatnie rozciąły druty otaczające mnie, a później ujęły mnie i zanosły do mojego domku, sterty kamieni leżących po drugiej stronie działki. Nie byłem jednak pewny, jakie ma zamiary, więc schowałem się za kupką gruzu. Uznałem, że jednak lepiej podziękować, więc spokojnie podszedłem do klęczącej dalej *Karusi* i dotknąłem jej wyciągniętej ręki. W tej chwili kobieta wyciągnęła pęsetę i szybko wyjęła z mojego boku kleszcza, który był już całkiem duży.

Później rozstaliśmy się. Jednak czasami ją odwiedzam. Moją bohaterkę. Wchodzę po cichutku na taras i czekam, aż przyjdzie. Zawsze przychodzi, żeby pogasić światła, a gdy mnie zauważy, uśmiecha się tak, jak wtedy, gdy mnie ratowała. Przez kilka sekund patrzymy na siebie, a później się rozchodzimy. Ale to wystarczy, żeby ona pamiętała o mnie, a ja o niej. Teraz wiem, że moim najlepszym przyjacielem jest właśnie ten człowiek. Kobieta, która mnie uratowała. *Mama*.

III miejsce

Małgorzata Niedziałkowska

Gimnazjum nr 54

Warszawa

Droga do domu

O czym marzy każde zwierzę? Wiem na pewno, że nie potrzebujemy dziesiątek nowych zabawek, drobiazgów, klimatyzowanej budy czy podgrzewanej kuwety. Jedyne, czego pragniemy, to miłości - wiernej i prawdziwej, a poczucie bycia kochanym napawa nas przekonaniem, że jesteśmy najszczęśliwszymi istotami chodzącymi na czterech łapach.

Jestem zwykłym kotem, a to moja historia. Historia o trudnych relacjach z niektórymi ludźmi i o jednej wspaniałej osobie, która sprawiła, że na nowo odnalazłem swoje miejsce na ziemi.

Był niczym niewyróżniający się dzień w posiadłości znanych hodowców zwierząt. Jak zwykle spacerowałem dookoła swojego pokoju, kiedy przyszła para opiekunów i oznajmiła mi, że znaleźli dla mnie dom. Bardzo się

ucieszyłem, że będę miał swojego właściciela, może nawet przyjaciela; naprawdę nie mogłem się już doczekać spotkania z nim.

Droga dłużyła mi się niemiłosiernie. Kiedy wreszcie dotarłem na miejsce, czułem ogromną radość i szczęście, gdyż niedługo miałem przekroczyć progi nowego domu. Miejsce urządzone było bardzo skromnie, a ściany pomieszczeń zdobiły stonowane barwy. W kącie wnęki koło regału z książkami zauważyłem swoje siedzisko, parę zabawek i miski na wodę i jedzenie. To wszystko tworzyło całkiem przytulną całość. I wtedy nadszedł czas, abym spotkał mojego pana. Okazał się on całkiem miłym człowiekiem w wieku 4 lat kocich, czyli około 30 lat ludzkich, choć dostrzegłem w nim pewną nutę nieśmiałości i powściągliwości. Pomyślałem, że to tylko kwestia przyzwyczajenia, że on musi się ze mną oswoić, tak samo jak ja z nim.

Początkowo żyło nam się razem dobrze, codziennie dostawałem pożywienie, czasem zostałem przelotnie pogłaskany po głowie. Te chwile czułości cenilem sobie ponad wszystko. Całe dni spędzałem na samotnej zabawie i próbach nawiązania kontaktu z właścicielem. Moje kocie serce niepokoiło jedynie to, że wciąż nie czułem z nim takiej stałej więzi, odnosiłem wrażenie, że nie zależało mu na mnie tak, ja mnie na nim, ale stale powtarzałem sobie, że potrzeba nam po prostu jeszcze trochę czasu.

Czas więc płynął, zupełnie nie pytając nas o pozwolenie, a do mnie docierało coraz wyraźniej, że moja sielanka jest ułudą. Codziennie zadawałem sobie bezradne pytanie, dlaczego jesteśmy sobie tacy obcy, dlaczego nie rodzi się między nami to, co ludzie określają przywiązaniem, przyjaźnią, a nawet miłością... Młody człowiek odpychał mnie od siebie i nie zważał na mnie, kiedy starałem się zwrócić jego uwagę. W jego mieszkaniu stałem się zwykłą ozdobą i zabawką dla przychodzących gości: „Jaki słodziak” - zachwycały się smukłe dziewczyny. Zacząłem jednak czuć się coraz bardziej samotny i łaknąłem szczerego, czułego dotyku na co dzień. Mój pan już mnie jednak nie potrzebował. Odmieniał przez wszystkie przypadki słowo „nuda”. Stałem się intruzem w jego domu.

Później było już tylko gorzej. Z dnia na dzień do mojej miski wsypywano coraz mniej karmy, zdarzało się nawet tak, że nie otrzymywałem jedzenia w ogóle, najpewniej z powodu pośpiechu czy roztargnienia właściciela. Nie jestem głupi, wiem, co znaczy: *Mam mało czasu...* Moja woda nie była zmieniana, często musiałem pić stęchlą, a czasem nie starczało jej na chociażby mały łyk.

Po jakimś czasie czułem się bardzo źle, myślę, że nawet zaczynałem wariować. Ściany dusiły mnie i już nigdzie nie czułem się bezpiecznie, ale to

kolejny dzień okazał się niebywale okrutny. Wstałem jak zwykle rano i wyruszyłem opracowaną wcześniej, najszybszą trasą do misek z pokarmem, ale okazało się, że one wcale tam nie stoją! Było to dla mnie bardzo dziwne, bo przecież wiedziałem, gdzie dokładnie powinny się znajdować. Szybko okrążyłem całe pomieszczenie, żeby znaleźć miski, jednak na próżno. Nagle poczułem ostre szarpnięcie i ból w karku, poczułem, jak moje łapy odrywają się od podłogi, a ja niespodziewanie lecę ponad ogrodzeniem posesji, tuż przy polnej drodze. Oszołomiony zastanawiałem się, co właśnie się zdarzyło. Kiedy w końcu uświadomiłem sobie, że zostałem wyrzucony z domu, moje serce rozpadło się na kawałki. Przerażał mnie nieznaną świat, jego zapachy i dźwięki. Zwinąłem się w kłębek i leżąc na pożółkłej trawie, rozpacziałem – po kociemu? po ludzku? Co za różnica – każda rozpacz obezwładnia.

Zastanawiałem się, dlaczego mi się to przydarzyło. Nim się obejrzałem, z przemęczenia zapadłem w półsen, który na szczęście oszczędził mi koszmarów. Gdy się obudziłem, było już ciemno, a ja wiedziałem, że muszę coś zrobić, iść dalej, by szukać pomocy. Wstałem... i od razu potknąłem się, dodatkowo poczułem bolesne klucie w przedniej łapie, zapewne skutek zderzenia z twardą powierzchnią chodnika. Spróbowałem jeszcze raz, rozchodziłem trochę kości i po jakimś czasie ból stał się znośny. Postanowiłem więc iść przed siebie i bez konkretnego celu błąkałem się po okolicy, koło dróżki i innych domów. Po paru godzinach bezładnego miotania się przystanąłem koło wysokiego drzewa o barwnych liściach i spoglądałem w stronę pełnego księżyca, mocno świecącego na grafitowym niebie. Jedyne on dotrzymywał mi dzisiaj towarzystwa. Żal i smutek na nowo wypełniły mnie od środka, gdyż wiedziałem, że nie mam dokąd pójść. Pozostawały mi tylko albo dalszy marsz, albo siedzenie w miejscu, co nie było przyjemną perspektywą.

Czas mijał bardzo wolno, noc zdawała się nie mieć końca, ale nareszcie nadszedł poranek, kiedy słońce rozpoczęło swoją wędrówkę. Tego dnia zaczął doskwierać mi mocny głód i pragnienie, myślałem tylko o jedzeniu. Nie mogłem jednak nic na to poradzić, więc musiałem zignorować potrzebę i ruszać dalej do większego miasteczka. Długo szukałem odpowiedniego szlaku, podróż zajęła mi cały dzień, ale ku mojej ucieście zobaczyłem tabliczkę z napisem *Kraków*. Odwróciłem się z niepokojem, gdyż usłyszałem szelest z tyłu. Niczego jednak nie wypatrzyłem. Dzielnie szedłem dalej, ale wtem zobaczyłem obok mnie nastolatka ze wzrokiem wieszczącym nieszczęście. Ścisnął w rękę coś połyskującego. To coś okazało się w rzeczywistości niewielkim sprężynowcem, a ja nagle zostałem nim zaatakowany.

Próbowałem się bronić, jednak chłopak był zbyt silny i już po chwili poczułem piekące rozcięcie na swoim ogonie. Gdy tylko mogłem, czmychnąłem z tamtego miejsca.

Długo biegłem napędzany strachem, lecz wszędzie widziałem przerażającą twarz mojego oprawcy. Mój umysł nachodziły najczarniejsze myśli i scenariusze, wtedy już naprawdę traciłem rozum. Zastanawiałem się, dlaczego musiało przydarzyć mi się tyle złego, co ja takiego zrobiłem, żeby zasłużyć na taki los. Byłem na skraju załamania, miałem wrażenie, jakbym już nigdy nie miał być szczęśliwy. Wtedy zobaczyłem wiadro z wodą, prawdopodobnie deszczówką, i resztką sił dotarłem do niego. Mogłem się swobodnie napić i zapomnieć o moim nieszczęsnym ogonie.

Nagle z domu, przy którym stało wiadro, wyszła starsza kobieta. Od razu mnie zauważyła i zaczęła iść w moim kierunku. Na początku przestraszyłem się i obawiałem, że chce mnie przepędzić. Już miałem szybko schować się za rogiem, kiedy ona podeszła do mnie i ostrożnie pogłaskała po grzbiecie. Był to dla mnie największy przejaw czułości ludzkiej od paru tygodni. Byłem bardzo wzruszony, ale jednocześnie rozkojarzony; po doświadczeniach minionych dni doznałem dziwnych uczuć. Babunia delikatnie wzięła mnie na rękę i poniosła w kierunku swojego mieszkania, a w jej oczach dostrzec można było błyszczącą łzę. To ja ją tak wzruszyłem? Kogo może wzruszać wychudłe zwierzę z obciętym ogonem? Czuję, że ta chwila stanie się dla mnie nowym, lepszym początkiem.

Na stałe zamieszkałem w kamienicy, razem z przeuroczą staruszką – panią Józefą – jej mężem i innymi kotami – tych jest tu spora gromada. A jakie mają charakterki! Dzisiaj jestem już zdrowy i wyleczony, choć z małym ubytkiem na ogonie, a całą swoją radość zawdzięczam mojej *księżnej Józefinie* – jak ją pieszczotliwie nazywam. Tutaj odnalazłem swój dom, w którym jestem akceptowany i kochany za to, kim jestem. Poznałem także swoich kocich przyjaciół, kiedyś niczyje zwierzęta ulicy, teraz kociaki tryskające szczęściem, podobnie jak ja uratowane przez Józefę. Ona codziennie nas karmi i się nami zajmuje, robi dla nas zabawki z kolorowego papieru, a niektórym stara się znaleźć bezpieczną sprawdzoną rodzinę. Mnie nikogo nie szuka, twierdzi, że ja już przeszedłem swoją drogę. Dzięki niej moje życie zmieniło się na zawsze, dlatego będzie zajmować w moim sercu szczególne miejsce, zasługując przy tym na miano Człowieka, mojego Wybawcę, kociego Przyjaciela.

III miejsce
Marta Bogdańska
Szkoła Podstawowa nr 357
Warszawa

Droży Państwo,

Jestem foką i mieszkam w fokarium na Helu nad Morzem Bałtyckim. Tu czuję się jak w domu, dzięki wspaniałym ludziom, którzy kochają zwierzęta morskie i dbają o każdą fokę. Ludzie znaleźli mnie na plaży i przewieźli do tego cudownego miejsca.

Kiedy dowiedziałam się o plebiscycie o miano człowieka – najlepszego przyjaciela zwierząt, postanowiłam zgłosić moje fokarium do konkursu. Ludzie, którzy tu pracują starają się, żeby foki czuły się jak w domu, czyli w morzu. Są tu baseny, w których jest woda z Morza Bałtyckiego. Dostajemy ryby i nawet nie musimy łowić ich same. Ludzie dbają o nasze zdrowie, często robią kontrole naszego ciała i natychmiast leczą każde zranienie. W naszym fokarium poznałam inne foczki, które trafiły tu tak jak ja. Ludzie znaleźli je ranne na plaży i przywieźli tutaj, żeby je wyleczyć. Inne zostały znalezione bez swoich mam, ponieważ turyści odstraszyli ich mamy. Teraz trzeba uczyć je jeść i łowić żywe ryby. Znam również foczki, które urodziły się w fokarium. To jest hodowla, żeby było nas więcej. Kiedy nauczymy się same sobie radzić, nasi opiekunowie wypuszczą nas do morza.

My foczki jesteśmy gatunkiem chronionym ustawą o ochronie przyrody. Ustawa zakazuje każdemu łapania, niepokożenia (fotografowania lub filmowania), polowania i zabijania ssaków morskich. Zadaniem ludzi ze Stacji Morskiej Instytutu Oceanografii Uniwersytetu Gdańskiego jest chronić nas, leczyć i wypuścić z powrotem do morza. Fokarium bada nas na różne sposoby: jak się zachowujemy, jak się odżywiamy, jakie trasy pokonujemy, dlaczego chorujemy i wiele innych. Foki, które zostały już wypuszczone dostają znaczek, który mówi, skąd zostały wypuszczone.

Na wolności nasze życie często jest zagrożone. Jednym z najgorszych niebezpieczeństw jest to, że wplątujemy się w sieci rybackie, przez co możemy zginąć. Zanieczyszczenie środowiska powoduje, że możemy zachorować. Lubimy odpoczywać na plaży, ale turyści nam przeszkadzają. Lubimy wędrówki. Co jakiś czas musimy wyjść z wody na ląd, żeby odpocząć i potrzebujemy spokoju, ale turyści tego nie rozumieją.

Fokarium w Helu zapewnia nam tyle dobrego. Pomaga nam przeżyć i chroni nas, dlatego uważam, że zgłoszenie fokarium do konkursu to świetny

pomysł.

Nie mogę się doczekać, kiedy wypuszczą mnie do morza, bo lubię dalekie wędrówki i przygody, ale zawsze będę tęsknić za moim cudownym domem i ludźmi z fokarium!!!

Szczęśliwa foczka

Wyróżnienie
Magdalena Szymańska
Gimnazjum nr 54
Warszawa

*Po co szukamy życia
na Marsie, skoro
nie umiemy zadbać o to,
które mamy na Ziemi?*

Nie umiem mówić, ale to nie znaczy, że nie mam nic do powiedzenia. Widzę, czuję, słyszę. Potrafię ocenić, co jest dobre, a co złe. Moją zwierzęcą duszę, jak każdą zresztą, też czasem spowija mrok albo ogrzewa ciepło radości bycia z kimś, albo niepokoi długie oczekiwanie. My - zwierzęta - nie jesteśmy gorsi tylko dlatego, że nie porozumiewamy się ludzką mową. To prawda, że słowami nie potrafimy wyrażać tego, co myślimy, ale swoje emocje umiemy przedstawiać w inny sposób i to bardzo czytelny. Wystarczy nas trochę poznać, aby wiedzieć, że jesteśmy przyjaźnie nastawione do ludzi, że potrafimy nie tylko brać, ale i dawać. A Ty, potrafisz dawać? A może tylko odbierać? Boleśnie odbierać?

Nazywam się Burek. Zwyczajnie, prawda? Czemu nie Komandos, Kolos, Łobuz? Może to budziłoby respekt u otoczenia... Mam rok. Jestem chudym, czarnym kundlem, w moich żyłach nie płynie nawet kropla rasowej błękitnej krwi. Od szóstego miesiąca życia spałem pod gołym niebem, na ziemi. Wiem, co to głód. Doświadczyłem pragnienia, jakiego sobie nawet nie wyobrażacie. Byłem bity i kopany przez swojego właściciela, a nawet jego hałaśliwych, pijanych kolegów. Czulem się jak przedmiot – nie miałem żadnych praw, żadnych przyjemności. Po prostu egzystowałem.

Tego dnia po zmierzchu zaczął padać ulewny deszcz i wiać silny wiatr. Pioruny uderzały tuż obok mnie, a błyskawice rozświetlały czarne niebo. Wyłem, szczekałem – wołałem o pomoc. Nikt nie zwracał na mnie uwagi, bo komu chciałoby się wyjść na zewnątrz w taką pogodę?! A zresztą, kto miałby do mnie wyjść? Krople smagały jak bicze. Leżałem pośród błota skulony, wystraszony, samotny. Czekałem, aż ten koszmar się skończy. I znowu ten

odgłos – huk. Czuję, że serce wyskoczy mi z piersi, jakby ktoś uderzał w dzwon bim-bam, bim-bam... Miałem szczęście, bo dzisiaj nie byłem przywiązany do łańcucha.

W końcu nie wytrzymałem, zerwałem się z miejsca, i, nie zważając na nic, biegłem przed siebie, oby jak najdalej od tego piekielnego miejsca. Szybko, szybciej - uciekaj Burek! - słyszałem za sobą głosy. Najpierw biegłem przez pole i las, minąłem rogatki miasteczka, a potem wpadłem na ulicę i nagle strumień światła, klaksony, jakiś hałas, przeraźliwy pisk opon i trzask! Otworzyłem oczy i jak przez mgłę ujrzałem jakieś pomieszczenie. Ludzie. Wszystko mnie bolało, nie mogłem się ruszać. Ktoś mnie głaskał i czule mówił jakieś słowa. Było mi ciepło. Gdzie ja jestem?! Znowu zasnąłem.

Minął rok, od kiedy uległem wypadkowi. Trafiłem do wspaniałego miejsca i poznałem cudownych ludzi – ludzi z misją, z pasją, z sercami, które potrafią pomieścić wszystkie kundelki świata, a nawet psią arystokrację, jeśli, oczywiście, akurat potrzebuje pomocy. Mogliby napisać nad wejściem slogan reklamowy – *Jesteś bezdomny? – świetnie! Czekamy właśnie na Ciebie!*

Miejscem, do którego trafiłem była Fundacja *Bo ja Kocham Psy*, która została założona 13.08.2012 r. w Łodzi. Wszyscy członkowie i wolontariusze organizacji pracują zawodowo, a w fundacji działają społecznie, w wolnym czasie, całkowicie nieodpłatnie.

Do priorytetowych zadań Fundacji należą: niesienie pomocy porzuconym i krzywdzonym zwierzętom (czyli także mnie), walka z bezdomnością zwierząt oraz wspieranie wszelkich działań w tym zakresie (jakby o mnie mowa!), ochrona praw zwierząt oraz zwalczanie przejawów znęcania się nad zwierzętami (to przecież moja historia!), działanie na rzecz humanitarnego traktowania zwierząt oraz zapewnienie im dobrostanu (to o moim właścicielu), kształtowanie właściwych relacji między człowiekiem a zwierzęciem (nas tego nikt nie uczył), propagowanie i prowadzenie różnych form terapii z udziałem zwierząt, w tym prowadzenie terapii dla osób niepełnosprawnych, a także działanie resocjalizacyjne, szeroko rozumiana działalność edukacyjna, m.in. prowadzenie zajęć edukacyjnych i pokazów w placówkach oświatowych i innych, mających na celu naukę obcowania ze zwierzętami, edukację w zakresie zwalczania bezdomności zwierząt oraz integrację, prowadzenie kampanii promocyjnych i szkoleniowych.

Obserwowałem, jak w Fundacji *Bo ja Kocham Psy* pracują wolontariusze, osoby wielkiego serca, które kochają zwierzęta i dobrowolnie oraz świadomie im pomagają. Fundacja zajmuje się stałymi, niepełnosprawnymi rezydentami, których miesięczne utrzymanie jest bardzo

kosztowne. Pod opieką znajdują się także koty i psy z interwencji, pseudohodowli, skrzywdzone przez ludzi. Wolontariusze biorą udział w akcjach propagujących działalność Fundacji, w poszukiwaniu domów dla zwierząt, w odwiedzaniu osób zainteresowanych adopcją i sprawdzaniu warunków, w jakich będzie przebywał zwierzak, oraz w opiece nad nimi poprzez spacer i zabawy.

Dzięki tej Fundacji dzieci już od najmłodszych lat mogą uczyć się, jak należy dbać o zwierzęta i postępować z nimi, dowiedzieć się, jakie potrzeby mają koty i psy oraz jak chronić je przed niebezpieczeństwami. Spotkania członków fundacji z dziećmi w przedszkolach i młodzieżą w szkołach są bardzo ciekawe, gdyż oparte są nie na suchych informacjach, lecz na doświadczeniach pracujących tam ludzi. Dzięki tym działaniom edukacyjnym wszyscy zainteresowani mogą dowiedzieć się o podejmowanych przez Fundację akcjach charytatywnych, podczas których gromadzone są pieniądze, przedmioty potrzebne dla zwierząt i pożywienie. Również bardzo niezwykle są relacje członków organizacji, dotyczące sposobów podejmowanych interwencji przez pracujących tam ludzi, oraz o partnerach, którzy wspierają tę trudną, jednak dającą ogromną satysfakcję pracę.

Powiem Wam, dlaczego to wszystko jest tak ważne? Otóż dzięki pomocy wolontariuszy zwierzęta odzyskują wiarę w istnienie dobrych ludzi. Pojawia się uśmiech na ich pyskach (tak! umiemy się uśmiechać!) i poczucie, że ktoś mówi w naszym imieniu i walczy o nasze zdrowie, a często i życie. Podejmowane przez nich działania uczą wrażliwości, czułości i właściwych postaw wobec wszystkich zwierząt.

Ja pies – zwierzę, dziękuję za ocalenie mi życia. Cieszę się, że trafiłem do Fundacji *Bo ja Kocham Psy*, gdyż dzięki niej znalazłem nowy, przyjazny dom. Mieszkam z niewidomą dziewczynką - moje oczy są jej oczami i spędzamy ze sobą każdą wolną chwilę . Jest cudownie, bo wzajemnie sobie ufamy i towarzyszą nam przy tym silne emocje. I choć ona nie widzi, ja nie mówię, świetnie się uzupełniamy. Czasami słowa są zbędne. W końcu znalazłem dom, w którym czuję się kochany i bezpieczny.

Nigdy Wam tego nie zapomnę. Odzyskałem wiarę w ludzi, dla wielu los zwierząt nie jest obojętny.

Wyróżnienie
Sonia Goluch
Gimnazjum nr 117
Warszawa

Człowiek – najlepszy przyjaciel zwierzęcia

Jako przedstawiciel Najwyższej Rady Zwierząt z Parku i Okolic mam zaszczyt przedstawić kandydata do nagrody „Człowiek – najlepszy przyjaciel zwierząt”, Pana Mieczysława”. Właśnie zaczynałem pisać wniosek odnośnie nagrody, kiedy okazało się, że pan Mietek przyszedł do parku. Gdy tylko o tym usłyszałem, musiałem tam polecieć. Przerwałem pisanie, ale w końcu wniosek nie zając, nie ucieknie, prawda?

Jestem bardzo podekscytowany faktem, iż to właśnie mnie wyznaczono do tego zadania. Wróbel będący członkiem Najwyższej Rady to bardzo rzadkie zjawisko. Kiedy przyleciałem, pan Mietek siedział już na ławce. Wyglądał tak jak zawsze – jasnobezżowa kurtka, czerwona czapka i wielkie okrągłe okulary, zza których spoglądały na nas jak zwykle wesołe oczy. Zawsze był rozpromieniony i bez względu na pogodę przychodził nas odwiedzać, nawet mimo dość sędziwego wieku. Wszystkie zwierzęta już siedziały dookoła niego na ziemi, oparciu ławki, pobliskich latarniach i drzewach. Wieści w naszym parku szybko się rozchodzą, zwłaszcza jeśli chodzi o pana Mietka. Sięgnął do foliowej torebki po ziarno. Przynosił je nam codziennie. Nie wiem, ile pieniędzy musi na nie wydawać, ale zawsze starcza dla nas wszystkich, a przychodzi do nas już od piętnastu lat. Kiedyś za każdym razem towarzyszyła mu żona, ale odkąd zmarła pięć lat temu, zaczął przychodzić tu codziennie. Widać było, że bardzo się kochali. Zawsze szli razem pod rękę i uśmiechali się promiennie do spacerowiczów, a wszyscy odpowiadali im tym samym, bo znał ich i szanował każdy. Myślę, że panu Mietkowi te wizyty u nas dobrze robiły. Sądzę, że to był nawet dla niego pewien rodzaj terapii. Sypnął obficie na trawę. Podeszliśmy jeszcze bliżej, ale jedzenia nie tknęliśmy. Przynosił jedzenie również dla siebie i jadł razem z nami, więc z szacunku dla niego nauczyliśmy się czekać, aż wyjmie swoje kanapki i zacznie jeść. Dopiero wtedy zabieraliśmy się za posiłek. Co jakiś czas sypał nam garść ziaren albo dawał okruszki ze swojej kanapki. Bardzo przyjemnie nam było jeść wspólnie. Pan Mietek to zdecydowanie najmilszy człowiek, jakiego spotkałem, jakiego spotkaliśmy my wszyscy razem wzięci. Zapomniałem wspomnieć o tym, że gdy lato jest naprawdę upalne, zabiera ze sobą płaski plastikowy talerzyk i butelkę z wodą, napelnia go i kolejno z niego pijemy. On pije z nami, tyle że z butelki. Czasem,

kiedy jakieś dzieci nas zaczepiają, on zwraca im uwagę, ale nie w taki sposób, że te buntują się czy złością, ale z zaciekawieniem słuchają tego, co ma im do powiedzenia, i zdarza się, że potem one co jakiś czas też nas dokarmiają. Nie wiemy, jak on to robi, ale mamy wielkie szczęście, że pomaga właśnie nam. Mamy nadzieję, że nasze towarzystwo jest dla niego też pewnego rodzaju ratunkiem i szczęściem.

Musiałem wrócić, żeby dokończyć mój wniosek. Pożegnałem się skinieniem główki i odleciałem. Dzisiejsza wizyta pana Mieczysława utwierdziła mnie w przekonaniu jeszcze solidniej. Ten starszy mężczyzna jest najbardziej ludzkim człowiekiem, jakiego dane mi było kiedykolwiek zobaczyć. Zdecydowanie zasługuje na miano najlepszego przyjaciela zwierzęcia.

Wyróżnienie

Mateusz Plichta

Szkoła Podstawowa nr 285

Warszawa

Jestem Zenek, jelonek. Tak naprawdę nie mam imienia. Nazwało mnie tak pewne dziecko. Gdy mnie zobaczyło, zaczęło krzyczeć: *Mama! Jelonek! To Zenek!*

A było to tak. Dzień jak co dzień. Szedłem sobie przez nieszczęsną ulicę (jakiś *mądry* człowiek wybudował ją w środku lasu), kiedy nagle zobaczyłem zbliżające się światło. Wtedy usłyszałem pisk i..... dalej nie pamiętam. Obudziłem się w jakimś dziwnym pomieszczeniu, wszystko tam było **DZIWNE**. Dziwne urządzenia, dziwni ludzie w dziwnych ubraniach, którzy patrzyli na mnie, jakby widzieli jakieś dziwne stworzenie. O co chodziło? Gdy spróbowałem wstać – nie mogłem. Miałem dziwne białe coś na nodze. To **DZIWNE COŚ** nazywało się, jak podśledzałem z rozmów ludzi – bandaż. Wieziono mnie na wózku na kółkach. Dowiedziałem się (oczywiście podśledzając) również, że mam szczęście, że żyję, i że potrafiło mnie rozpedzone auto.

Wtem poczułem, że stanęliśmy. Ulżyło mi. Ludzie, którzy byli ze mną, otworzyli duże, skrzypiące drzwi i wysiedli. Oczywiście, nie zapomnieli o mnie. Zabrali mnie, położyli na jakiś jeżdżący pojazd, zwany wózkiem, i gdzieś zawieźli. Stał tam starszy pan, z wyglądu miły i pogodny. Miał siwe włosy i szarawy wąsik. Na dużym nosie spoczywały okulary z dużymi szklami. Zdawał się być poczciwym staruszkim. Miał na sobie niebieski płaszcz. Z kieszeni wystawało kilka długopisów. Nogawki szarych, szerokich spodni ciągnęły się

po ziemi. Doktor trzymał w ręku jakiś papier, czytając go z uwagą. Gdy mnie zobaczył, był zdumiony. Podszedł do mnie. Zdjął mi bandaż (bolało!), mówiąc: *To żeś się wpakował, mój drogi! Kto ci to zrobił?!*. Myślałem wtedy: *Kto? Jakiś szaleniiec pędzący autem*. Wtedy lekarz zdjął mnie z wózka i położył na posłanie. Dał wody i jeść, następnie przykrył kocem i poszedł. Słyszałem jeszcze, jak mówił do innych: *Konieczna będzie operacja jego nogi. Jutro!*

Bałem się. Po chwili weterynarz wrócił i zaczął pracować. Poczulem się zmęczony i poszedłem spać. Nagle wszedł do pokoju mój lekarz i usiadł na biurowym krześle. Podjechał do mnie i zaczął przemawiać, jakby wiedział, że go rozumiem. A rozumiałem go doskonale. Mówił: *O rety! Taki młodziutki jelonek, a tak daleko od mamy. Pewnie się boisz... Nie martw się. Zrobimy jutro operację, trochę u mnie posiedzisz i cię wypuścimy! Znajdziesz mamę*. Lekarz mówił tak łagodnie i czule, że uwierzyłem mu i moje przerażenie ustąpiło miejsca spokojowi.

Wtedy weszła jakaś pani. Pytała: *Co jedzą jelonki?!*. Lekarz, jak się później okazało, nazywał się Mietek, powiedział: *Siano! Trawę! To oczywiste! To OCZYWISTE!* Kobieta zniknęła. Zerknąłem przez okno i zobaczyłem, jak strzyże trawę nożyczkami na zewnątrz! Ależ był ubaw. Sam pan Mietek się śmiał! Po chwili (cała zielona!) wróciła z miseczką trawy w ręku. Dała mi i wściekła poszła się umyć. Krzyczała jeszcze: *Przecież to się nie zmyje!* Biegała przy tym od pokoju do łazienki, od łazienki do pokoju.

Przed operacją mój strach powrócił. Nie wiedziałem dokładnie, co znaczy wyraz *operacja*, ale wiedziałem, że nie wróży to nic dobrego. Z miseczki leżącej przed moim posłaniem napiłem się wody. Noga zaczęła mnie potwornie boleć. Zacząłem ryczeć. Lekarz wybiegł z pokoju. Wrócił z dziwnym stojakiem z jakimś woreczkiem. Jeszcze raz czule mnie pogładził. Nagle wbił mi coś w nogę. Podłączył to do tego, tamto do tamtego, obraz zaczął rozmazywać mi się przed oczami. Dalej nic nie pamiętam.

Obudziłem się. Noga już nie boli! Spróbowałem wstać. Coś ciężkiego, białego otaczało mi nogę. Dowiedziałem się, że to *GIPS*. Nie mogłem zginać nogi. Podobno miałem złamaną. Jak można złamać nogę?! Do dziś tego nie rozumiem! Leżałem. Przyszedł lekarz. Znowu zaczął do mnie mówić. Trochę mi się to nudziło. Nie chciałem iść spać. Słuchałem pana Mietka. Czas płynął **NAPRAWDĘ WOLNO**. Napiłem się. I tyle. Czekałem, co dalej...

Nagle ujrzałem jakieś dziwne światła za oknem. Po chwili zgasły i zobaczyłem taki sam pojazd jak ten, którym mnie przywieziono. Wynieśli stamtąd jakiegoś szczeniaka. Góra dwa miesiące. Wyglądał na nieprzytomnego. Miał ranę na głowie. Od razu wzięli go na ręce i gdzieś zanieśli, chyba na ostry

dyżur. To była sala operacyjna. Po dłuższej chwili wynieśli go z zabandażowaną głową. Teraz miałem okazję mu się przyjrzeć. Był to młody spanielek, z długą brązową sierścią i dużymi, włochatymi uszami. Gdzienigdzie miał ciemnobrązowe plamy. Gdy go nieśli, patrzył nieprzytomnym wzrokiem przed siebie.

Pan Mietek od razu wybiegł z gabinetu zając się nowym pacjentem. Podobno został uderzony przez nieodpowiedzialnego właściciela. Na szczęście sąsiedzi zadzwonili po odpowiednie służby, i tak mały biedak trafił tutaj. Zza ściany słyhać było jeszcze psie popiskiwanie, które po chwili ucichły. Z tego, co widziałem, wnoszę, że zaopiekowali się nim tak dobrze jak mną, mam taką nadzieję. Zapadła noc, postanowiłem odpocząć, zasnąłem.

Obudziło mnie szczekanie z sąsiedniego gabinetu. Pewnie nowy pacjent się obudził. Od razu dali mu jeść i pić. Oczywiście natychmiast – inaczej byłoby za nudno – zaczął rozrabiać. Po chwili zauważyć można było biegającego po całej przychodni szczeniaka merdającego ogonem, a za nim grupkę ludzi, która bez powodzenia próbowała go złapać. Niby taki chory, a miał w sobie diabełka. W końcu złapał mojego lekarza za nogawkę i próbował ciągnąć ją z całej siły, o mały włos go przy tym nie wywracając. Jednak pan Mietek wcale się nie złościł, tylko śmiał się. Na szczęście uciekiniera szybko złapano. Doktor polecił, by dano szczeniakowi jakiś psi smakołyk. Piesek od razu ucichł, jakby znalazł sobie ciekawsze zajęcie niż ganiecie po całej przychodni.

Opowiedziałem całą tę historię, gdyż chciałem zgłosić kandydaturę pana Miecia – weterynarza - do plebiscytu o miano *Człowieka – Najlepszego Przyjaciela Zwierzęcia*. Wykonuje on naprawdę ciężką pracę. Trzeba znać się na zwierzętach. Trzeba się nimi opiekować. Wiem coś o tym. Zanim mnie wypuścił, zrobił dla mnie tyle dobrego, między innymi: dokarmił, wymieniał opatrunki, podawał leki... A przede wszystkim mnie uratował. Zaobserwowałem również, jak opiekuje się innymi zwierzętami. Jest naprawdę świetny w swoim zawodzie. Ma takie dobre serce! Okazuje zwierzętom troskę, otacza je opieką, z uwagą pochyla się nad ich losem. Nie złości się na psotnych podopiecznych, lecz próbuje odgadnąć ich potrzeby. Tego weterynarza bez wątpienia możemy nazwać *Człowiekiem – Najlepszym Przyjacielem Zwierzęcia*.

Coś nowego

Był to cudowny dzień. Letni wiatr, słońce na błękitnym niebie. Od razu pomyślałam o dłuższej wycieczce po lesie. Biegłam bardzo szybko. Można rzec, że byłam prawie niezauważalna. Kiedy już miałam przebiec przez najbliższą drogę, po której poruszają się stworzenia zwane *ludźmi* (co zwykle szło mi bez trudu), stało się coś niewiarygodnego. Samochód, który jechał naprawdę szybko, trafił prosto we mnie. Odepchnął mnie daleko na przód, na drogę, a sam zahamował z piskiem. Nie dałam rady się ruszyć, całkowity paraliż, a przed nim moje ciało przeszedł niesamowity ból. Byłam pewna, że to już koniec. Ku mojemu zdziwieniu usłyszałam czyjś głos bardzo blisko siebie. Czułam, że ten ktoś podchodzi coraz bliżej mnie. Nie myliłam się. Z braku sił miałam zamknięte oczy, dlatego nie mogłam nic zobaczyć. Chyba straciłam przytomność. Po dość długim czasie ktoś lub coś mnie podniosło. Poczułam, że odrywam się od brudnej i twardej powierzchni i leżę na czymś wyjątkowo miękkim, czymś kompletnie mi nieznanym, i przyjemnym. Słyszałam rozmowę ludzi, którzy mówili coś o wypadku, katastrofie i leczeniu. Nie wiedziałam, o co chodzi, a nawet nie miałam ochoty o tym myśleć. Ból w całym ciele nie ustępował. Znalazłam się w wielkim samochodzie. Nagle poczułam ukłucie w szyi, a kilka sekund później wielką ulgę. Pomyślałam, że oni chyba chcą mi pomóc. Podróż nie trwała długo. Auto zatrzymało się po 10 minutach przy wielkim budynku. Drzwi otworzyły się, a ktoś ostrożnie wniósł mnie do środka. - *Będzie dobrze* - usłyszałam. Łzy leciały mi z oczu, dalej nie mogłam ruszyć nogami. Bardzo się bałam, nigdy nie byłam tak blisko ludzi. Marzyłam tylko, żeby był to sen, ale nie był. Nie wiem, co się ze mną działo. Byłam przenoszona z pomieszczenia do pomieszczenia, ale nie umiem określić, gdzie się znalazłam. Myślę, że był to szpital. Dookoła mnie znajdowało się wiele zwierząt wyglądających na zranione. Długo zastanawiałam się, gdzie jestem i co się ze mną stanie, ale w końcu znalazłam odpowiedź. Był to miejski szpital zwierzęcy „Ratuj z nami”. Niesamowite miejsce, gdzie zwierzęta w przypadkach podobnych do mojego dostają pomoc od ludzi.

Minęło wiele tygodni, poczułam się lepiej. Miałam wiele operacji i dostawałam mnóstwo lekarstw. Wiedziałam, że dzięki temu będę mogła wrócić do domu. Wiem, że wrócę. Każdy mój dzień spędzony w tamtym

miejscu wyglądał tak samo. Jedynym moim zajęciem było czekanie na powrót do zdrowia. Pewnego dnia rano mój ulubiony doktor przyszedł z kimś nieznanym. Był to mężczyzna, który w rękach trzymał koc. Drzwiczki do mojej klatki otworzyły się, a ja przerażona odskoczyłam do tyłu. Nie chciałam, aby ktoś podchodził blisko mnie, ale nie mogłam jeszcze długo ustać na nogach, więc szybko padłam na siano w kącie. Doktor zniknął, a obok mnie usiadł obcy człowiek. Długo siedział, nie mówiąc nic ani nie wykonując żadnych ruchów. Tylko mu się przyglądałam, aż ten wyciągnął do mnie rękę.

Nie zrobiłam nic. - *Przepraszam* - powiedział. Już wiedziałam, o co chodzi. Mężczyzna wstał i przykrył mnie kocem, który przyniósł ze sobą, i wyszedł. Nie byłam zła, że przydarzył mi się ten wypadek. Dzięki tej sytuacji w moim życiu wiem, że ludzie potrafią kochać zwierzęta i chcą udzielić im pomocy w potrzebie.

Jagoda Pindur
Gimnazjum nr 117
Warszawa

Włączyłem się po ciemnych uliczkach jakiegoś miasta. Jedyne mdłe światło padało z ulicznych latarni ustawionych rzędem przy jezdni. Nikt mnie nie mijał, nie widziałem żadnego człowieka. Czulem zimno, głód, nie wiedziałem, gdzie moja mama. Ostatnio widziałem, jak szczekała na pewnego człowieka. Kazała mi uciekać i już więcej jej nie zobaczyłem. Bałem się, że ten pan zrobił jej krzywdę. Zmęczenie powoli przejmowało kontrolę nad moim ciałem, czulem się, jakbym dźwigał ogromny ciężar. Próbowałem się pocieszyć, powtarzając sobie, że ten ciężar to wielka kość, którą znalazłem. Ale to nie bardzo pomagało.

W końcu przystanąłem, opierając łeb o ceglana ścianę. Dyszałem ciężko, różowy język wystawał mi z pyska. Całe moje ciało krzyczało, żebym się zatrzymał, że już dłużej nie wytrzyma. Ale umysł mówił coś innego. Chciałem iść dalej, mama obiecywała mi przecież, że się spotkamy po drodze, musiałem iść dalej! Inaczej mnie nie znajdzie. Stawiałem ociężałe kroki. Jeden. Drugi. Trzeci. Czwarty. Łapy zdrętwiały mi od zimna i zmęczenia, cały drżałem. Białe światło latarni zaczynało mi przeszkadzać. Zdałem sobie sprawę, że idę już kolejny dzień i zaraz padnę z wyczerpania, ale nie miałem najmniejszej ochoty się poddawać.

- Ojej – usłyszałem nagle kobiecy głos. - A co my tu mamy?

Podniosłem łeb i zobaczyłem wysoką postać owiniętą w ciemny płaszcz,

długie spodnie i kozaki. Nastroszyłem sierść. To był człowiek. Inny próbował już skrzywdzić moją mamę. A ona zawsze mi powtarzała, że ludzie są źli i nie powinienem im ufać. Co prawda, ta kobieta wyglądała przyjaźnie, ale przecież pozory mylą. Wyszczrzyłem się agresywnie, pokazując swoje ostre kły. Jednak kobieta, zamiast się wystraszyć, uśmiechnęła się lekko.

- Jakie urocze stworzonko – powiedziała. Na krótką chwilę zapomniałem, że jestem szczeniakiem.

Uklęka przede mną. Wystraszyłem się tego gestu i odskoczyłem, warcząc złowrogo. Zmęczenie ustąpiło miejsca adrenalinie, która teraz krzyczała w mojej głowie: *To człowiek! Broń się!*. To właśnie robiłem, a zresztą tak mi się wydawało. Przecież byłem za mały, by ktokolwiek się mnie bał! No, może oprócz myszy.

Kobieta zachichotała i wyciągnęła w moją stronę dłoń w ciemnej, skórzanej rękawiczce. Zacząłem szczekać, by spróbować ją jakoś odstraszyć. Byłem jednak głupi, porywałem się z motyką na słońce. To ludzka samica! Człowiek! Mogłaby mnie zdeptać i nikt by tego nie zauważył.

- Już dobrze, piesku – wyszeptała uspokajająco, cierpliwie czekając z wyciągniętą ręką ułożoną tak, jakby leżał na niej jakiś przysmak. - Nic ci nie zrobię. Obiecuję. Już dobrze.

Spojrzałem na nią podejrzliwie i powoli zbliżyłem się na odległość kilku kroków. Wtedy poruszyła się, co sprawiło, że znowu odskoczyłem. A ona wciąż czekała. Patrzyliśmy na siebie chyba przez minutę. W końcu podszedłem ostrożnie i dokładnie obwąchałem jej rękawiczkę. Pachniała dziwnie, jak skóra. Od dłoni kobiety biło jednak ciepło, za którym się stęskniłem. Matczyne ciepło. Otarłem się łbem o jej palce, a ona zaczęła mnie głaskać. Zaskomlałem cicho, przypominając sobie, że mojej mamy wciąż przy mnie nie ma.

A co, jeśli tamten człowiek coś jej zrobił? Co, jeśli ją skrzywdził? Nie, nie, to niemożliwe. Moja mama jest silna i odważna, i na pewno by pokonała takiego człowieka, i...

Moja mama jest tylko psem. Człowiek był od niej większy i silniejszy. On ją pewnie... Skamlałem, zdając sobie sprawę z tego, że mojej mamy może już nie być. Kobieta zmarszczyła brwi z politowaniem i podniosła mnie ostrożnie, po czym wstała. Wystraszony jej niespodziewanym gestem, zacząłem gryźć jej rękawiczkę, ale to nic nie dawało, bo przecież byłem tylko małym, nieszczęsnym szczeniakiem. Szczeniakiem bez mamy...

- Już dobrze, maleńki – kobieta szeptała ciepłe słówka, głaszcząc mnie lekko. - Zaopiekuję się tobą, dam ci jeść. Będziesz bezpieczny. Obiecuję...

Bałem się. Nawet bardzo, ale co miałem zrobić? Ta kobieta wydawała się

miła, może nie jest taka zła jak tamten człowiek, na którego mama krzyczała. Może nie wszyscy ludzie są źli.

W końcu przestałem skamleć i zasnąłem w ramionach kobiety. Zabrała mnie do domu, nakarmiła, umyła i dała ciepłutkie posłanie. Czułem się bezpiecznie.

Wciąż mi przykro, że nie znajdę mojej mamy. Ale teraz znalazłem nową. Dowiedziałem się, że ma na imię Celestyna. Dziwne imię, ale to człowiek, a ludzie mają dziwne imiona. Pani Celestyna nazwała mnie Łata, co też jest dziwnym imieniem. Nie wiedziałem, że ludzie nadają imiona nam, zwierzętom.

Ale lubię panią Celestynę. I podoba mi się, że tak się o mnie troszczy.

Nazywam się Łata i jestem psem pani Celestyny. Ale to śmiesznie brzmi.

Zofia Baran

Społeczne Gimnazjum nr 27 STO

Warszawa

Jeden dzień z życia szczęśliwego psa

Codziennie rano budzę się, gdy tylko usłyszę kroki Mojej Pani na schodach. Podnoszę się z legowiska i podążam za nią do kuchni, uważnie śledząc każdy jej ruch – najpierw półprzytomna robi sobie kawę z ekspresu, potem już rozbudzona je śniadanie, czyli to, co akurat jest w tym Pudle, z Którego Wieje Zimne Powietrze. Dopiero gdy sama zje, patrzy na mnie i wtedy dostaję swoją miskę. Po posiłku Moja Pani ubiera się i idziemy na spacer. Ale dzisiaj było inaczej.

Pani na śniadanie zeszła już w ubraniu, najpierw ja dostałem jedzenie, dopiero później ona wypła kawę. To mnie lekko zdezorientowało, ale byłem też zaintrygowany tym niespodziewanym obrotem sprawy. Jak zwykle, gdy moja miska już opustoszała, podbiegłem do drzwi, czekając na Moją Panią. Pani otworzyła drzwi, a ja szybko wybiegłem na dwór i jak każdy przyzwoity pies, zacząłem załatwiać swoje *psie sprawy*. Jednak nie miałem na to za dużo czasu, ponieważ Pani od razu przywołała mnie do siebie i przypięła mi smycz. Byłem bardzo zaciekawiony całą sytuacją, w końcu Moja Pani nigdy nie zabraniała mi biegać luzem. Truchtałem grzecznie przy jej nodze przez kilka minut, w końcu dotarliśmy na jakiś betonowy plac i skierowaliśmy się do jednego z tych Metalowych Pudeł na Kołach. Pani otworzyła drzwi, a ja wskoczyłem na tylne siedzenie, potem sama zajęła miejsce kierowcy i włączyła silnik. Ruszyliśmy. Jechaliśmy około godziny, przez całą drogę wyglądałem przez okno, obserwowałem zmieniający się krajobraz. Opuściliśmy miasto,

z czasem wszystkie budynki zniknęły, z każdej strony otaczały nas pola i drzewa. Nigdy nie byłem w lesie – znałem tylko dom Mojej Pani i kilka ulic wokół niego – więc, szczerze mówiąc, trochę się denerwowałem.

Nareszcie! Pani zatrzymała Metalowe Pudło na Kołach na czymś, co wyglądało trochę jak ten betonowy plac w mieście, ale znacznie mniejszy. Otworzyła drzwi, a ja wyskoczyłem na twardą nawierzchnię. Moja Pani od razu przypięła mi smycz, ale i bez niej nigdzie bym nie pobiegł – ogrom przestrzeni, którą byliśmy otoczeni, odrobinę mnie przerażał. Moja Pani zaczęła coś mówić uspokajającym głosem, nie rozumiałem jej słów, czułem natomiast, że była równie podekscytowana jak ja.

Truchtam grzecznie przy jej nodze, gdy idziemy ścieżką w lesie, jednak bardzo trudno mi się skupić. Ilość dźwięków i zapachów – tak różnych od odgłosów miasta – przytłaczała mnie, instynkt nakazuje mi obwąchać wszystko, podbiec do każdego miejsca w zasięgu wzorku. Pani widzi moje podekscytowanie, sama czuje chyba to samo, bo w końcu zatrzymujemy się na jakimś skrzyżowaniu kilku ścieżek. Pani znowu zaczyna coś mówić, a potem spuszcza mnie ze smyczy.

Na początku nie wiem, co robić, więc tylko stoję w miejscu, rozglądając się na wszystkie strony. Pani pokazuje mi, że mogę iść i robić co chcę – to dodaje mi nieco otuchy. Odwracam się i odbiegam żwawym truchtem. Wszystkie drzewa, rośliny i inne małe stworzonka wzywają mnie do siebie, przyciągają swoim osobliwym zapachem. W lesie trawa pachnie inaczej niż w mieście, każda roślinka jest tu jakby bardziej żywa. Uradowany biegam od drzewa do drzewa, ale wciąż nie tracę z widoku Mojej Pani.

Jest cudownie! Jak na razie, obwąchałem bardzo dużo drzew

i znalazłem krzak jeżyn. Trochę się pokłulem chcąc je zjeść, ale było warto. Owoce bardzo mi smakowały! Potem natrafiłem na Świetny Patyk, więc wziąłem go ze sobą i wróciłem do Mojej Pani. Chciałem, żeby trochę się ze mną pobawiła. Rzuciła mi patyk bardzo, bardzo daleko, a ja go gonilem. To było super! Trochę zmęczyłem się tą zabawą – w końcu w mieście nigdy tyle nie biegałem – dlatego zostawiłem ten Świetny Patyk Mojej Pani i dalej poszedłem zwiedzać las.

Zajęło mi to bardzo dużo czasu; było już popołudnie, gdy Moja Pani przywołała mnie do siebie. Wróciliśmy do samochodu tą samą drogą, którą przyszliliśmy. Oczywiście nie zapomniałem zabrać ze sobą Świetnego Patyka. Mimo zmęczenia wciąż rozglądałem się z zainteresowaniem, co jakiś czas odbiegając, żeby obwąchać co ciekawszy krzak, ale teraz trzymałem się blisko nogi Mojej Pani – wiedziałem, że jest dumna z tego, że tak się jej słucham.

Powrót do domu zajął nam znacznie więcej czasu niż przyjazd do lasu, na drodze pojawiło się bardzo dużo Metalowych Pudła z Kólkami, przez co jechaliśmy wolniej. Kiedy wreszcie znaleźliśmy się na betonowym placu, szybko wyskoczyłem – dzisiejszy dzień przysporzył mi tylu wrażeń, że chciałem już tylko położyć się spać. Pani zamknęła Pudło i ruszyliśmy do naszego domu.

W mieszkaniu odłożyłem Świetny Patyk na moje legowisko, a następnie podreptałem do kuchni. Tam dostałem kolację, a w czasie gdy jadłem, Moja Pani oglądała coś w tym Pudle Wyświetlającym Kolorowe Obrazki. Po posiłku położyłem się przy niej na kanapie i zasnąłem.

Śniło mi się, że biegam po lesie w pogoni za różnymi zapachami, a Moja Pani mi towarzyszy i bawi się tak samo dobrze jak ja. W tym śnie ze wszystkich stron otaczały mnie krzaki jeżyn i Świetne Patyki.

To był cudowny dzień.

Jakub Wawer

Szkoła Podstawowa nr 48

Warszawa

Nazywam się Rysiek i jestem jednym z ostatnich czterdziestu rysi nizinnych, które żyją w Polsce. W 1995 roku ja i moja rodzina zostaliśmy wpisani do polskiej Czerwonej Księgi Zwierząt jako gatunek pod ścisłą ochroną zagrożony wyginięciem. Mam, jak na kota przystało, świetny wzrok, szerokie łapy, mocne i duże pazury, które pozwalają mi wspinać się po drzewach, krótki ogon i pędzelki na uszach. Od połowy XX wieku coraz trudniej się nam żyje - ludzie gwałtownie zaczęli wycinać lasy, budować nowe drogi. Zmniejszając nasze tereny łowieckie, bez których ani ja, ani moja rodzina nie jesteśmy w stanie przeżyć. Z natury lubię samotność, ale obecnie, aby przetrwać w naszych polskich mazurskich lasach, bardzo, ale to bardzo potrzebuję Waszej pomocy.

Moja fundacja WWF jest jedną z największych organizacji działających na świecie już od 55 lat w ponad 150 krajach. W Polsce zajmujemy się nie tylko ochroną rzek i lasów, ale również zagrożonych wyginięciem moich kolegów z lasu: wilków i niedźwiedzi oraz mojej rodziny. Walczymy z nielegalnym handlem i przemysłem zagrożonych gatunków. Razem z moimi przyjaciółmi zakładamy parki narodowe na całym świecie. Spotykamy się ze znanymi ludźmi, prowadzimy warsztaty dla dzieci. Razem z aktorem Marcinem Dorocińskim, w ramach akcji *Ratuj rysie*, uświadamiamy dzieciom, dlaczego warto chronić rysia. Do naszej akcji w ostatnim czasie dołączyła również Kasia

Tusk. Fundacja WWF bardzo intensywnie pracuje nad tym, aby sprowadzić na Mazury rodzinę rysia odłowioną w Estonii, gdzie żyje nas nieco więcej. Od 2007 roku w ramach programu *born to be free*, urodzone w niewoli małe rysie uczą się samodzielnego życia, a następnie zakłada im obrozę i wypuszcza na wolność. Obroza ma na celu obserwowanie młodszych kolegów, czy radzą sobie z życiem na wolności. Niestety to nie wszystko, ponieważ, gdy nas przybędzie, bez wsparcia naszej fundacji będzie brakowało nam pokarmu. Na ten cel otrzymujemy dofinansowanie z Unii Europejskiej, a naszym partnerem jest również Regionalna Dyrekcja Lasów Państwowych w Olsztynie. To oni razem z ekologami, aby wspomóc naszą liczebność, zaplanowali wzmocnić populację jeleni i saren, które są podstawowym pokarmem rysia. Na Mazurach, w Puszczy Piskiej i Puszczy Napiwodzko-Ramuckiej stworzyli „stołówki dla jeleniowatych”, wysiewając różnego rodzaju mieszanki traw na leśnych polanach, a zimą dokarmiają roślinożerców, aby mogły swobodnie się rozmnażać. Każdy z Was może pomóc w ocaleniu mojej rodziny, jeśli będzie pamiętał o kilku prostych zasadach. Po pierwsze, w lesie zachowuj ciszę, aby nie straszyć moich bliskich i nie schodź z wyznaczonych szlaków. Spacerując po lesie z psem, nie spuszczać go proszę ze smyczy, ponieważ spotkanie ze mną może okazać się bardzo niebezpieczne dla Ciebie i Twojego pupila. Stając w obronie swojej rodziny, mogę niechcący skrzywdzić Ciebie lub Twojego psa. Jeżeli w lesie znajdziesz metalowe linki lub stalowe wnyki, zgłoś to proszę odpowiednim służbom, ponieważ prawdopodobnie zostawili je tam kłusownicy, aby skrzywdzić mnie i moich bliskich. Podróżując autem w miejscach, które oznaczone jest znakiem „uwaga dzikie zwierzęta”, zwolnij, zawsze istnieje ryzyko kolizji z dzikim zwierzęciem.

Moim zdaniem, nasza Fundacja WWF codziennie dokłada wszelkich starań, aby uświadomić ludziom na całym świecie, że ochrona naszej planety i przyrody to warunek przeżycia i istnienia nie tylko zwierząt, ale także całej ludzkości. Wszystkie działania, jakie prowadzimy, to działania w imię zasady *ochrona przyrody z ludźmi i dla ludzi*. Nasi przyjaciele, ludzie znani z telewizji i innych mediów, używając nam swojego wizerunku i swojego głosu w spotach społecznych i reklamowych, z zaangażowaniem biorą udział w wydarzeniach ważnych dla przyszłości mojej i mojej rodziny. To właśnie dzięki pomocy znanych i lubianych staramy się zmieniać nawyki ludzi, tak aby codzienne działania ekologiczne stały się codziennym nawykiem Polaków już od najmłodszych lat. To właśnie dzięki edukacji i działaniom możemy ocalić wszystkie zwierzęta na całym świecie!

Plebiscyt na miano człowieka.

Tego dnia było wyjątkowo zimno. Padał deszcz, a wiatr był tak silny, że gałęzie drzew wyginały się do dołu. Stałem schowany w trawie przy drodze. Byłem głodny i bardzo zmęczony wędrówką. Samochody przemykały jeden za drugim. Położyłem się i czekałem, aż ustąpi ulewa. Niespodziewanie usłyszałem kroki. Ktoś szedł w moim kierunku. Nie był sam. Coś trzymał w rękę. Zadrzałem.

- Czy znowu będę przeganiany ? - pomyślałem.

Był to starszy mężczyzna. Prowadził rower, który wydawał przedziwne dźwięki. Nachylił się i o dziwo pogłaskał mnie po mojej zmokniętej, poklejonej rudej sierści. Zwrócił uwagę na moją podkurczoną łapę i delikatnie podniósł mnie z trawy. Wciąż drżałem. Było mi zimno. Moje oczy zdradzały, że się boję. Nie ufałem już ludziom. Szliśmy w deszczu, a dziadek, bo tak się przedstawił, wziął mnie pod swoją kurtkę. W domu położył mnie delikatnie na posłaniu blisko czegoś ciepłego. Podał mi miszkę z jedzeniem.

- Hura! Jedzenie! Nie jadłem od dwóch dni - pomyślałem.

Starszy człowiek przykucnął obok mnie i zachęcał do jedzenia. Głaskał mnie. Nie patrzył na mnie pogardliwie, mimo że byłem taki brudny i przemoczony. Ledwo tknąłem ciepłą zupę.

Usnąłem. Obudził mnie warkot samochodu. Podeszedłem kulejąc do drzwi, które były uchylone. Przed domem stał dziadek z drugim człowiekiem. Podeszli do mnie. Nie czułem niepokoju ani strachu. Zamerdałem ogonem.

- Podejdz Mały - powiedział dziadek – pokaż łapę doktorowi.

Lekarz opatrzył moją kończynę, zszył ranę na grzbiecie i jeszcze pogłaskał. Zostałem u dziadka Stefana już nie na dzień, nie na dwa, jak bywało to wcześniej u innych ludzi, ale już na zawsze. Znalazłem schronienie i miłość. Jesteśmy we dwóch, ja – Rudy, bo tak się wabię, i dziadek Stefan. Razem przemierzamy ścieżki leśne w poszukiwaniu grzybów. Zbieramy gałęzie na opał, właściwie to dziadek Stefan, ja zaś rozrzucam je dookoła. A kiedy starszy człowiek wybiera się rowerem do sklepu po zakupy, zabiera mnie ze sobą. Świetnie się bawię, biegnąc koło roweru. Marzyłem o przyjacielu i chciałem bardzo, aby mnie ktoś pokochał, takiego jakim jestem; rudego z krótszą tylną, prawą łapą. Marzenie się spełniło. Jestem kochany i kocham mojego pana-dziadka Stefana.

Choć jestem niepełnosprawny, to czuję się kochany. Mam przyjaciela - Stefana. Obdarzam go wdzięcznością i miłością. Wiem, że jest obok mnie i nie pozwolił mi już nikomu skrzywdzić. Merdam ogonem i szczekam z radości, kiedy witam swoją bratnią duszę. Zgłaszam mojego pana Stefana do miana najlepszego przyjaciela zwierzęcia.

Rudy

Julia Krześcińska

Spółeczna Szkoła Podstawowa nr 10 STO

Warszawa

Historia Kropeczki

Pewnego dnia obudziłam się u boku mojej matki. Znaczą, jeszcze jej nie widziałam, lecz czułam bijące od niej uczucia - do mnie i do mojego rodzeństwa. Gdy po raz pierwszy otworzyłam oczy, zobaczyłam szóstkę przewracających się koło mnie malutkich gryzoni. Zrozumiałam, że to moi bracia i siostry, a wszyscy byliśmy świnkami morskimi.

Nasza mama, kilka dni po tym, jak pierwszy raz ją zobaczyłam, zmarła. Często przychodził do nas człowiek o imieniu Bob, który dawał nam jedzenie i wodę, a choć dopiero od niedawna byłam na tym świecie, znałam prawa świnki morskiej, które polegały w szczególności na zabawie.

Prawie codziennie widziałam gryzonia wynoszonego przez Boba z klatki i przenoszonego w małym pojemniku do samochodu. Na razie nie bardzo się tym przejmowałam, teraz interesowała mnie tylko zabawa z innymi. Człowiek jednak nie bawił się z nami ani nie dbał o nas zbyt dobrze, wskutek czego około miesiąca po urodzeniu zaczął mnie swędzić brzuszek, a gdy drapałam się po nim, zauważyłam, że w swędzącym miejscu nie mam futerka, lecz skórę, z paroma czerwonymi krostkami.

Bob dawał nam tylko po kawałku surowego ogórka, za co go najbardziej lubiłam, i trochę siana. W rodzinie chcieliśmy być sprawiedliwi, a więc dzieliłiśmy się po równo, przez co nie byliśmy zbyt najedzeni. Dwóch moich braci i jedna siostra zmarli z głodu. Dzięki temu przynajmniej ja i trzech moich braci mieliśmy większe porcje sianka. Doszłam do wniosku, że ludzie są okropni, i wtedy jeszcze myślałam, że zawsze będę tak myśleć.

Nazajutrz Bob wyjął mnie bezczelnie z klatki i wsadził do tego samego kartonu, w którym widziałam inne świnki morskie. Wyczułam tu wiele zapachów różnych odmian świnek: jedną teddy, dwie długowłose, jedną rozetkę i cztery skinny. Białe futro na kuperku zaczęło mi żółknąć, bo Bob nie

sprzątał nam klatki. Gdy dojechaliśmy na miejsce, znaleźliśmy się w głośnym budynku,

a potem weszliśmy do jeszcze mniejszego pomieszczenia. Usłyszałam rozmowę Boba z jakąś kobietą:

- Dam ci za nią czterdzieści złotych - powiedziała kobieta.

- Dobrze. Dziękuję. Jutro nie mogę żadnej przywieźć, ale za tydzień przywiozę cztery.

Kobieta za ladą dała Bobowi kilka papierków, po czym wsadziła mnie do klatki. Oprócz mnie była tam inna świnka morska.

- Jak masz na imię? - zapytałam koleżeńsko.

- Ja jestem Teddy. A ty? - odpowiedziała wyglądająca jak baranek, moja współlokatorka.

- Mam na imię Krótkowłosa, lecz wątpię, czy to dobre imię.

Zaczęłyśmy rozmawiać o wielu rzeczach i dzięki temu dowiedziałam się trochę o historii Teddy. Miała podobną sytuację z mamą, ponieważ jej matka ciężko chorowała i kilka tygodni po urodzeniu małych świnczek morskich zmarła. Jednak jej człowiek często się z nimi bawił, lecz i tak niedostatecznie. W tamtej chwili pomyślałam, że moja współlokatorka miała trochę lepszego pierwszego opiekuna, chociaż z jej historii wynikało, iż też nie miała wielkiego szczęścia.

Nazajutrz pani wyciągnęła mnie z za lady i włożyła do kartonu. Pół godziny później znalazłam się w objęciach jakiejś małej dziewczynki. Wyczułam od niej wielką radość oraz opiekuńczość.

Przez następnych kilka dni mieszkałam w dużej, niebieskiej klatce, a dziewczynka zawsze po piętnastej bawiła się ze mną w różne śmieszne zabawy. W poniedziałek, jak zawsze po czymś, co nazywało się *szkolą*, dziewczynka przyniosła taki sam karton, w jakim przyniosła mnie do tego rajcu, a w pudełku siedziała Teddy!

Od czasu zakupu ja mam na imię Kropeczka, a moja współlokatorka Banieczka, natomiast dziewczynka ma na imię Julia. We trzy wymyśliłyśmy różne śmieszne zabawy. Julia często daje nam dropsy o smaku śmietanki, a gdy miałyśmy trzy miesiące, dała nam kawałek selera. Od tego czasu to nasz ulubiony przysmak.

Pewnego razu, podczas gry na łóżku Julki, a zabawa ta nazywała się *grą w chowanego*, dziewczynka zauważyła tę swędzącą część brzuszka i od razu pokazała ją pani o imieniu Mamusia, a dzień później pojechaliśmy do pani zwanej Weterynarz. Pani Weterynarz podała Julii i Mamusi nazwę jakiejś maści, którą to kupiliśmy później w aptece. Jeszcze dowiedziałam się o miłej

rzeczy, a mianowicie że żółte futerko na kuperku z czasem mi zejdzie.

Pani nas również zbadała. Nie należało to do rzeczy najmilszych, ale pod koniec wizyty podczas badania pomasaowała nasze brzuszki, było to milutkie, ponieważ Pani Weterynarz Banieczkę drapała po całym żołądku, a mnie w miejscu bez krostek.

W domu Jula dawała nam co dwa dni witaminę C, natomiast tylko mnie nacierała brzuszek cuchnącą mazią. Jednak było warto, bo po tygodniu smarowania brzuszka nie było na nim krostek, a po dwóch tygodniach stosowania kremu w miejscu gołej skóry zaczęło rosnąć futerko. Ja i Banieczka byłyśmy w trzech kolorach: białym, rudym i czarnym.

Witaminę C Jula dawała nam w malusich strzykaweczkach i zawsze było tam tylko półtora mililitra witaminy. Była ona o smaku różanym, a gdy widziałyśmy, że już zaraz się skończy dzisiejsza porcja, a następną dostaniemy za dwa dni (ponieważ według zaleceń pani Weterynarz witaminę C możemy spożywać co dwa dni), wyrwałyśmy strzykawkę i próbowałyśmy wylizać resztki. Jednak wyrwanie strzykawki udało mi się tylko raz, ale za to dziewczynka często trzymała strzykaweczkę specjalnie tak długo, żebym mogła ją wylizać, natomiast Bańce prawie zawsze udawało się wyrwanie strzykawki, a gdy ją wylizała, dawała dziewczynce do ręki przedmiot już bez witaminy C i razem się siłowały.

Pewnego wieczoru razem z Banieczką ucinałyśmy sobie codzienną drzemkę, gdy usłyszałyśmy wiele różnych ludzkich głosów. Dowiedziałyśmy się, że ten dzień nazywał się *Wigilia*. Gdy Jula wyciągnęła nas na kolana, pokazała nam małą torebkę z napisem: *Dla Kropeczki i Banieczki*. Podczas opróżniania torby dziewczynka pokazywała nam różne rzeczy i mówiła, co to jest. Dostałyśmy wiele smakołyków, które zjadłyśmy zaledwie w cztery dni! Bardzo dobre były dropsy dla gryzoni (choć nie lubię określenia *gryzoń*) o smaku śmietankowym i od tej pory dostajemy jedno opakowanie z dropsami co dwa tygodnie.

Z Banieczką rzadko, ale jednak, kłócimy się - nie są to poważne kłótnie, a zazwyczaj chodzi o to, że obydwie chcemy pić w tym samym czasie, jednak żadnej z nas nie chce się przejść do drugiej. Ale zawsze dochodzimy do porozumienia.

Pewnego dnia przypomniałam sobie, jak powiedziałam, że nie lubię ludzi, jednak dzięki Julii zmieniłam pogląd. Kocham naszą dziewczynkę!

Maja Jędrzejewska
Szkoła Podstawowa nr 77
Warszawa

Psi azyl

Warszawa, 11 kwietnia 2017

Cześć!

Nazywam się Holly i od niedawna jestem mieszkanką Psiego Azylu w Warszawie w Falenicy. Moje życie nigdy nie było szczęśliwe. Mieszkałam w niewielkim domku. Właściciel nie przejmował się moim losem. Przez cały czas zostawiał mnie w małym pokoju, z jednym (zawsze zamkniętym) oknem. Bardzo rzadko chodziłam na spacer. Gdy, po krótkiej wyprawie, chciałam coś zjeść, to piszczałam, ale mój właściciel bił mnie i kopał. Coraz bardziej nie podobało mi się takie życie, więc kiedy tak mnie kopnął, że zламаłam łapkę, uciekłam.

Błąkałam się po ulicy w nadziei, że ktoś mnie przygarnie. Niestety mijał dzień za dniem, a nikt tego nie zrobił.

Czwartego dnia, gdy przechodziłam przez jezdnię, ujrzała mnie młoda Pani. Zaczęła mnie głaskać, a potem zabrała do samochodu. Jechałyśmy bardzo długo. Kiedy wreszcie zatrzymałyśmy się, Pani zaprowadziła mnie w nieznane miejsce.

W budynku miły Pan dał mi jeść, pić, a potem zaprowadził mnie do weterynarza. Zostałam zbadana i owinięto mi moją chorą łapkę. Po zabiegu Pan zaprowadził mnie do klatki. Była tam karma i poduszka. Od razu poszłam spać.

Rano obudziłam się po raz pierwszy w życiu najedzona i wyspana, a przy klatce stali ludzie. Przyglądali się mi, wyjmowali z klatki i głaskali. Bardzo mi się to podobało. Teraz jest tak codziennie. Nikt na mnie nie krzyczy i nikt mnie nie bije.

Pan każdego dnia dosypuje mi karmę i wypuszcza mnie na podwórko. Mogę do woli figlować i biegać. Wszyscy są przyjaźni. Dzięki pracownikom Azylu nabrałam zaufania do ludzi.

Bardzo chciałabym znaleźć Nowego, Dobrego Właściciela, mimo że w Azylu jest mi dobrze. Według mnie to Schronisko zasługuje na miano najlepszego przyjaciela zwierząt. W tej chwili Psi Azyl jest moim domem, ale wierzę, że pewnego dnia obudzę się w swoim własnym, gdzie wszyscy będą mnie kochać, tak jak tu.

Uratowana Holly

Matylda Jaźwiec
Prywatna Szkoła Podstawowa nr 6
Warszawa

Z pamiętnika kanarka Boba (historia prawdziwa)

Cześć! jak już się domyślicie, jestem kanarkiem o imieniu Bob. Opowiem Wam historię, która zmieniła moje, krótkie jeszcze, życie. Kiedyś mieszkałem w klatce z kilkoma innymi kanarkami w sklepie. Nie pamiętam, jak się tam znalazłem. Nie było to fajne miejsce. Mieszkałem w galerii handlowej. Było tam głośno, jasno w nocy, a na dodatek codziennie rano bolała mnie głowa. Z czasem moi koledzy znikali; jak się potem okazało, zostawali zabierani przez ludzi. I przyszedł ten dzień, kiedy zostałem SAM. Zaczęło mi brakować moich kumpli i było mi smutno.

Wtedy nadszedł ten szczególny dzień – 18 listopada 2016 r. Był to dzień, który zmienił moje życie.

Zobaczyłem dziewczynkę, która trzymała kobietę za rękę. Kiedy w końcu na mnie spojrzała, krzyknęła: - *Mamo, patrz jaki egzotyczny wróbel!* Na początku myślałem, że mnie z kimś pomyliła, nie wiedziałem, o kim ona mówi, ale przypomniało mi się, jak kumple mówili, że mam *beret* na głowie oraz że nie jestem czerwony lub żółty, tylko brązowo-szary. Nie minęło 15 minut, a jakiś pan mnie wziął do ręki i schował do jakiegoś pudełka. Bałem się i jednocześnie cieszyłem, bo chodziły takie plotki, że będzie tylko lepiej. Po już nie pamiętam ilu minutach znalazłem się w nowym miejscu, jak się później okazało - w domu dziewczynki. Kobieta wyjęła mnie delikatnie z tego ciasnego pudełka i włożyła do nowej, bardzo przytulnej klatki – mojego nowego domku. W domku było dużo jedzenia i to mnie ucieszyło najbardziej, ponieważ uwielbiam jeść. Jak już się najadłem, to im podziękowałem – zaśpiewałem najładniej jak umiałem.

Najciekawsze jednak zdarzyło się następnego dnia. Postanowili mnie wypuścić z domku i... poleciałem, a właściwie skoczyłem. Niestety, wtedy jeszcze nie umiałem fruwać, tylko skakałem i podlatywałem. Sztukę latania opanowałem kilka dni później. Pierwsze wyjście z mojego domku było dla mnie bardzo stresujące, ale przypomniało mi się, że, gdy pierwszy raz zobaczyłem tę rodzinę, pomyślałem, że jest fajna. I uważam, że to była mądra myśl.

A teraz kilka słów o mojej ludzkiej rodzinie. Matylda to ta dziewczynka, która mnie wypatrzyła w sklepie i która najczęściej się ze mną bawi. Bierze mnie na rękę i oprowadza po mieszkaniu. Dzięki temu mogę odwiedzić np. sypialnię. Duży chłopiec często umiła mi czas, grając na pianinie. Ja też

próbowałem poskakać po tym instrumencie, ale niestety nie dałem rady – jestem za lekki. Kobieta dba o mój domek i przynosi mi smakołyki – najbardziej lubię cykorię i jabłka, i żółtko, i nasionka, i... dużo by wymieniać. Jest jeszcze mężczyzna, który buduje dla mnie różne konstrukcje z patyków, żebym mógł obserwować świat przez okno.

Powiem Wam jedno – jestem największym szczęściarzem na świecie. Latam sobie po mieszkaniu tyle ile chcę, dostaję dużo smakołyków oraz słomę, którą uwielbiam trzymać w dziobie. Codziennie budzę się z uśmiechem na dziobie i zastanawiam, co dzisiaj ciekawego się zdarzy. Mam fajny domek zamiast ciasnej klatki i dużo konstrukcji, po których mogę skakać. A najfajniejsza z tego wszystkiego jest moja rodzina – bo tak o nich myślę. Uważam, że Matylda, dziewczynka, która mnie uratowała z życia w sklepie w centrum handlowym, i która bardzo mocno o mnie dba, zasługuje na miano Człowieka – najlepszego przyjaciela zwierzęcia. Wszystkim zwierzętom życzę, żeby też im się tak poszczęściło.

Natalia Grudniak

Spółeczna Szkoła Podstawowa nr 10 STO

Warszawa

Moja nowa rodzina

Cześć, nazywam się Luna i mam trzy lata. Chciałabym wam opowiedzieć o moim spotkaniu z nową rodziną, z którą obecnie mieszkam.

Cofnijmy się do początku, gdy miałam zaledwie miesiąc. Nagle zdarzyło się coś niepokojącego, wszyscy moi bracia i siostry gwałtownie zaczęli podchodzić do drzwi i głośno mówić: *Ktoś idzie! Czuję nowy zapach*. I wtedy oni weszli, była to Iza i trzy nowe istoty: dwie starsze i jedna trochę młodsza. Dziewczynka wyciągnęła do mnie rękę i po raz pierwszy poczułam coś dziwnego, mały dreszcz i motyle w brzuchu, mama powiedziała mi, że to może być miłość. Trochę się tego przestraszyłam. Wówczas po raz pierwszy zaczęłam wydawać z siebie taki charakterystyczny odgłos, który trochę przypominał mruczenie, nie do końca potrafiłam nad nim zapanować. Dziwne to było uczucie. Potem nagle wszyscy się rozeszli, goście nas opuścili. Po tym dniu pełnym wrażeń moi bracia cały czas mi dokuczali, a siostra chciała się ze mną bawić. Ja poczułam się bardzo zmęczona, niepokoiłam się tym, co się ze mną działo, więc położyłam się w ciepłym legowisku, przytuliłam do mamy i zasnęłam.

Teraz mam już trzy miesiące i znowu zobaczyłam tych ciekawskich gości. Na początku podbiegła do mnie dziewczynka i zaczęłyśmy się bawić,

przyniosłam jej moją ulubioną piłkę, wspięłam się na najwyższą półkę drapaków, aby mogła zobaczyć, jaka jestem już duża. Ola rzucała do mnie zieloną myszkę, a potem, gdy już ją całkowicie rozgryzłam, biegałam po schodach na górę i na dół, na górę i na dół ..., aż nagle ktoś mnie złapał i mocno przytulił. Iza zabrała mnie w dziwne miejsce. Była to ciasna torba, w którą zostałam zapakowana, niestety miejsce nie było przytulne, ale za chwilę ktoś przykrył mnie moim ulubionym kocykiem, który pachniał jeszcze mamą. Zrozumiałam, że właśnie zaczyna się moja droga w nieznaną.

- Pa, pa, bracia i siostry! Może jeszcze się kiedyś zobaczymy! - żegnałam moje rodzeństwo, bo już się spodziewałam, gdzie idę.

- Pa Lunka! Pa, pa! Będę za tobą bardzo tęsknić! - krzyczała do mnie mama i machała łapą na pożegnanie.

Jednak po chwili drzwi się zamknęły i mamusia zniknęła mi z widoku, wtedy zrobiło mi się bardzo smutno i nie byłam już taka pewna, czy chcę się wyprowadzić. Wtedy poczułam, że ktoś mnie mocno przytula, i ponownie pojawiło się to dziwne uczucie, i znowu zaczęłam głośno mruzczyć, byłam właśnie w rękach małej Oli! Dopiero teraz zobaczyłam prawdziwe twarze moich nowych Państwa.

Pożegnałam się z Izą i po chwili poczułam zimno i chłodny wiatr. Po pewnym czasie przestałam drżeć, bo weszliśmy do ciepłego samochodu. Poczułam, że ruszamy, i wyjrzałam za okno. Drzewa prędko się przesuwały, a moja rodzina zostawała coraz dalej.

Po długiej jeździe wreszcie zobaczyłam mój nowy dom. Był duży i cały żółty. Państwo szybko wyciągnęli mnie z auta i prędko przenieśli do ciepłego wnętrza. Najpierw sami zaczęli się rozbierać z grubego odzienia, a dopiero potem zanieśli mnie do środka. Dziewczynka otworzyła torbę, z której ochoczo wyskoczyłam i powiedziała:

- Witaj w domu, Luna.

Rozejrzałam się dookoła. Wszystko wydawało się ogromne, zobaczyłam białe ściany i dużo pokoi, bardzo się bałam, nie czułam już zapachu mamy ani braci i od razu zaczęłam za nimi tęsknić. Wreszcie ujrzałam długie schody, na takich zawsze lubiłam się bawić, więc postanowiłam się wdrapać na górę i zobaczyć co tam się znajduje.

- Wspaniały jest ten dom! - pomyślałam sobie. Jest tu dużo miejsc, w których można się ukryć i doskonale bawić.

Nawet nie zauważyłam, że Państwo naszykowali mi jedzenie. Gdy w końcu zobaczyłam miskę pełną chrupków i miseczkę pełną wody, przypomniałam sobie, że z wrażenia zapomniałam zjeść śniadania i jestem

bardzo głodna. Natychmiast zesłam po schodkach i zaczęłam jeść i pić. Gdy mój brzusek był już pełen, znowu poczułam chęć przytulenia. Jak tylko znalazłam się na rękach u Oli, ponownie pojawiło się to przyjemne uczucie i teraz byłam już pewna, że to była miłość. Poczulałam ogromną chęć na drzemkę, niestety nie mogłam zasnąć, wciąż myślałam o mamie. Wtedy z pomocą przyszła mi nowa pani – Ela, przyniosła kocyk, pachnący mamą, położyła na kolanach i leciutko głaskała, wreszcie udało mi się zasnąć.

Po przebudzeniu się zaczęłam zwiedzać dom. Rozpoczęłam od parteru. W toalecie znalazłam znajomą mi kuwetę, taką samą jak domu, w kwiatuszki, oczywiście postanowiłam z niej skorzystać, zachowywałam się tak, jak mama mnie uczyła – zawsze należy po sobie posprzątać. Gdy wyszłam, nagle wszyscy zaczęli mnie chwalić, jakby to było coś dziwnego, ale oczywiście było mi bardzo miło i tym bardziej byłam z siebie dumna. Na górze od razu weszłam do pokoju dziewczynki. Na fotelu leżał kocyk przygotowany chyba specjalnie dla mnie, aby było mi ciepło, siadłam na nim, było tu naprawdę wygodnie. Na górze znajdowała się również łazienka z wanną, jak zwykle ciekawość spowodowała, że weszłam na nią, jednak brzeg okazał się śliski, więc runęłam do środka! Przestraszyłam się, pani Ela przybiegła z pomocą i wyciągnęła mnie. Kiedy już stanęłam na łapkach, nadal byłam przerażona. Postanowiłam więcej tu nie wchodzić. Prędko obeszłam pozostałe pokoje. Następnie wróciłam do Oli, odszukałam ten miękki fotel, ułożyłam się na nim wygodnie i po krótkiej chwili zasnęłam.

Gdy usłyszałam odgłosy przyrządzania obiadu, podniosłam się i szybko poszłam na dół grzecznie prosić o jedzenie. Żeby pani Ela mnie zauważyła, cichutko miauknęłam.

- Ooo! Widzę, że się obudziłaś - odpowiedziała Pani na moje miauknięcie. Zobaczyłam idącą Olę.

- No tak, zaczęła się - pomyślałam sobie.

Za chwilę przyjdzie do mnie i zaczniesz się ze mną bawić, a ja nie chcę, nie chcę, NIE CHCĘ! - tupnęłam łapką, aby pokazać, że nie chcę, ale i to nie podziałało. Ola już do mnie biegła, dobrze to widziałam. Gdy miała mnie już złapać, czyjaś ręka ją powstrzymała. To pan Piotr, który właśnie wrócił z pracy.

- Olu, zostaw Lunę w spokoju. Daj jej spokojnie zjeść – strofował dziewczynkę jej tata, a dla mnie wybawiciel.

Kątem oka zobaczyłam Olę, która trochę się obrazila. Ale na pewno zaraz jej przejdzie, potem się przecież poprzytulamy.

Kiedy podeszłam do mego, jak to już powiedziałam, wybawiciela, zaczęłam mruzczyć i łaścić się do niego. Moi państwo od razu nazwali to

BODZIANIEM.

Wtedy po raz pierwszy pomyślałam, że jest to mój nowy dom oraz że będę tu szczęśliwa, ponieważ czuję się przez wszystkich kochana.

Antoni Kuliś

Szkoła Podstawowa nr 350

Warszawa

Cześć!

Jestem żółwiem lamparcim. Chcę ci opowiedzieć moją historię od samego początku.

Gdy wyklulem się z jajka, byłem strasznie małym stworzonkiem. Mama twierdzi, że byłem i tak największy wśród mojego rodzeństwa. Zjadałem strasznie dużo listków roszpunki i rukoli. Tam, gdzie się urodziłem, było bardzo dużo żółwi. Potem tata wytłumaczył mi, że są to wszyscy moi krewni i razem żyjemy w jednym gospodarstwie zajmującym się hodowlą żółwi lamparcich.

Po kilku miesiącach, kiedy już podrosłem, mój właściciel sprzedał mnie pewnej pani, która miała syna. Okropnie się przestraszyłem i byłem smutny. Gdy wsiedliśmy do jakiegoś sprzętu, który jeździł, chłopiec zaczął ze mną rozmawiać. Nie rozumiałem, co on mówił, i on chyba też mnie nie rozumiał. Kiedy wreszcie dojechaliśmy, wsadzili mnie do dziwnego szklanego pudełka. Prawie codziennie dostawałem jedzenie i picie. Polubiłem chłopca, nowe otoczenie i żółwia, który mieszkał razem ze mną. Po jakimś czasie okazało się, że to samica, i w niedługim czasie pojawiły się u nas młode żółwiki. Pewnego dnia chłopiec chciał dotknąć moje małe, a ja się tak o nie przestraszyłem, że ugryzłem dziecko w rękę.

Niestety, po tym smutnym wydarzeniu właścicielka oddała mnie starszemu panu (prawdopodobnie był to dziadek chłopca). Nie podobało mi się u niego, ponieważ zapominał mnie karmić i poić. Miał również chomika, z którym szybko się zaprzyjaźniłem. Razem z chomikiem zdecydowaliśmy się opuścić niedobrego opiekuna. Wędrując, doszliśmy do ogromnego miasta. Było tam bardzo dużo ludzi i wtedy zauważył nas pewien mężczyzna, który potem nas zabrał do swojego domu. Ma na imię Antoni. Nowy opiekun dał mi na imię Włóczuś, a chomikowi Gryzak (nie mam pojęcia czemu). Sprowadził też kilka innych żółwi, w których rozpoznałem moich rodziców i rodzeństwo. Antoni bardzo nas lubi, my jego też. Mieszka nam się razem wspaniale.

Dzisiaj mam około 20 lat i jestem szczęśliwy żółwiem, żyję otoczony rodziną i przyjaciółmi. Gryzak też nie został sam, ponieważ Antek sprowadził również jego przyjaciół gryzoni.



Kategoria: Gimnazja

I miejsce

Anna Maziarska *Ja i mój brat*

Gimnazjum nr 54 w Warszawie

Farby akrylowe



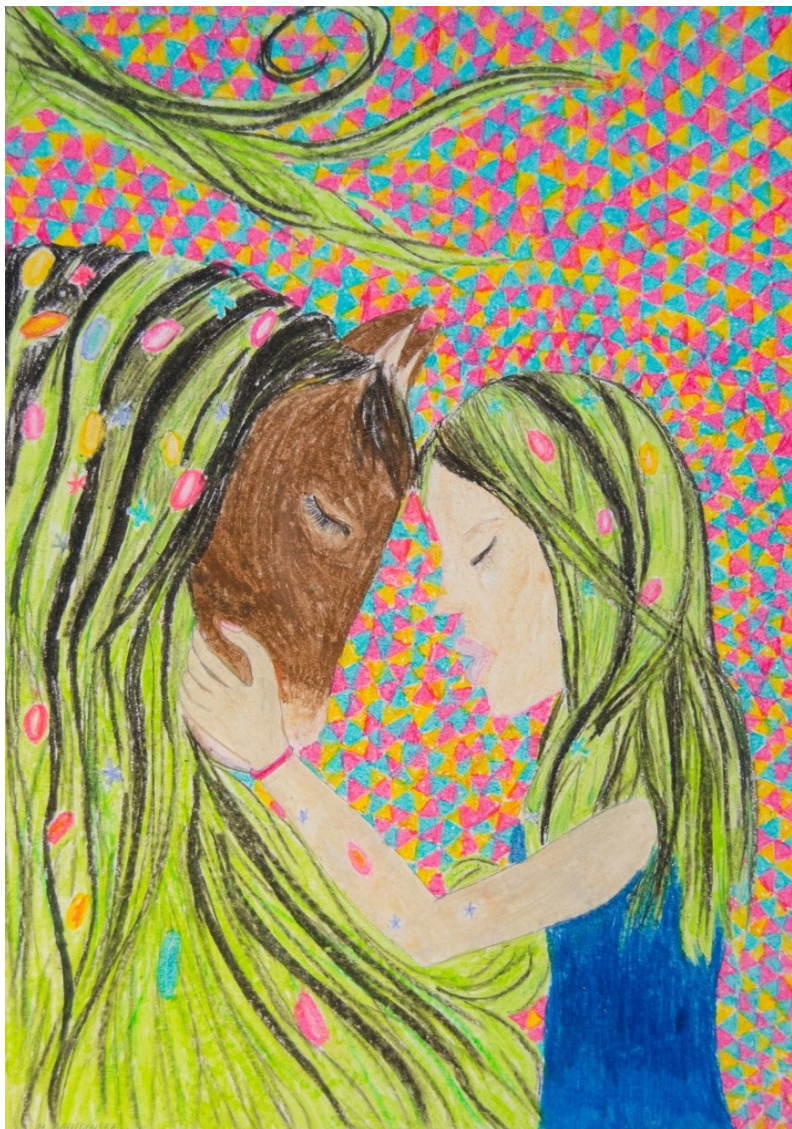
Kategoria: Gimnazja.

II miejsce

Julia Walerzak *Ja i zwierzę*
Gimnazjum nr 50 w Warszawie
Pastele olejne



Kategoria: Gimnazja
III miejsce
Alicja Pniewska
Gimnazjum nr 50 w Warszawie
Pastele olejne



Kategoria: Gimnazja
Wyróżnienie
Marta Dawidowska
Gimnazjum nr 50 w Warszawie
Pastele olejne



Kategoria: Gimnazja

Wyróżnienie

Iga Świerżewska *Razem po horyzont*

Gimnazjum nr 42 w Warszawie

Flamastry

Motto: Kochać się to nie znaczy patrzeć na siebie nawzajem, lecz patrzeć w tę samą stronę Antoine de Saint-Eupery



Kategoria: Gimnazja

Wyróżnienie

Jana Oliinyk

Gimnazjum nr 41 w Warszawie

Farby plakatowe



Kategoria: Gimnazja

Wyróżnienie

Zofia Baran *Człowiek i pies*

Spółeczne Gimnazjum nr 27 STO w Warszawie

Farby plakatowe



Kategoria Gimnazja:
Alicja Misterka
Gimnazjum nr 50 w Warszawie
Pastele olejne



Kategoria: Gimnazja.
Karina Kołodziejczyk
Gimnazjum nr 50 w Warszawie
Pastele olejne



Kategoria: Gimnazja
Weronika Ślaska
Gimnazjum nr 50 w Warszawie
Pastele olejne



Kategoria: Szkoły podstawowe

I miejsce

Maja Olszewska

Szkoła Podstawowa nr 185 w Warszawie
Ołówek, kredka, pastel olejny, pastele suche



Kategoria: Szkoły podstawowe

I miejsce

Nina Grzywacz *Nasz wspólny świat*

Spółeczna Szkoła Podstawowa nr 16 STO w Warszawie

Pastele olejne



Kategoria: Szkoły Podstawowe

II miejsce

Anna Hęćlik

Szkoła Podstawowa nr 48 w Warszawie

Pastele suche



Kategoria: Szkoły podstawowe.

II miejsce

Jagoda Król

Szkoła Podstawowa nr 209 w Warszawie

Pastele suche, kredki



Kategoria: Szkoły podstawowe

III miejsce

Aleksandra Korza

Szkoła Podstawowa nr 69 w Warszawie

Flamastry



Kategoria: Szkoły podstawowe

III miejsce

Tomasz Berkieta

Szkoła Podstawowa nr 48 w Warszawie

Farby plakatowe, pastele olejne



Kategoria: Szkoły podstawowe

Wyróżnienie

Kamila Stępnik

Szkoła Podstawowa nr 32 w Warszawie

Wyklejanka, tusz



Kategoria: Szkoły Podstawowe

Wyróżnienie

Barbara Przybysz *Nasz wspólny świat*

Spółeczna Szkoła Podstawowa nr 16 STO w Warszawie

Pastele olejne



Kategoria: Szkoły podstawowe

Wyróżnienie

Eva Jeklin

Szkoła Podstawowa nr 32 w Warszawie

Farby akwarelowe, kredki ołówkowe



Kategoria Szkoły podstawowe.

Wyróżnienie

Oliwia Wronkiewicz

Szkoła Podstawowa nr 209 w Warszawie

Kredki ołówkowe



Weronika Wojcieszak *Spacer z przyjacielem*
Szkola Podstawowa nr 32 w Warszawie Pastele olejne



Tymon Szczepański
Szkola Podstawowa nr 32 w Warszawie Pastele olejne



Iga Folek

Szkoła Podstawowa nr 69 w Warszawie Pastele olejne



Natalia Rekruciak

Szkoła Podstawowa nr 32 w Warszawie Pastele olejne



Zofia Lubowicka

Szkoła Podstawowa nr 48 w Warszawie batik



Aleksandra Krajewska

Szkoła Podstawowa nr 48 w Warszawie Kredki ołówkowe



Nadia Łacka *Mój mały przyjaciel*
Szkoła Podstawowa nr 32 Kredki



Karolina Monikowska *Dziewczynka i pies*
Szkoła Podstawowa nr 53 w Warszawie Wyklejanka



Apolonia Klem

Spacer z psem

Szkoła Podstawowa nr 32 w Warszawie

Pastele olejne